GOSPODARKA NARODOWA

NIEZALEŻNY DWUTYGODNIK GOSPODARCZY

WARSZAWA, 15 MAJA 1932

NR. 10 ROK II

CENA NUMERU 90 GR. PRENUMERATA KWARTALNA 4 ZŁ. 50 GR.

GOSPODARKA NARODOWA

NIEZALEŻNY DWUTYGODNIK GOSPODARCZY

NR. 10
15 — V
1932 R

KOMITET REDAKCYJNY: ALEKSANDER K. IVANKA, BOHDAN ŁĄCZKOWSKI, TADEUSZ ŁYCHOWSKI, JÓZEF PONIATOWSKI, KAZIMIERZ SOKOŁOWSKI

DWA TYGODNIE

NA PRZEDNÓWKU.

Przewidywania, jakiemi niejednokrotnie dzieliliśmy się z czytelnikami na tem miejscu w początkach ubiegłej zimy, a wyrażające się, najogólniej mówiąc, w stwierdzeniu, iż dochodzimy do „dna kryzysu", skąd już niema drogi wgłąb, ale konieczne staje się stworzenie warunków objektywnych dla drogi „wgórę", skłaniają do zastanowienia się, czy wchodzimy w okres ustalania się tych warunków. Cóż możnaby o nich dzisiaj powiedzieć?

Nie ulega najmniejszej, zdaje się, wątpliwości, iż koniecznym warunkiem dla „wyżycia się" światowej depresji gospodarczej jest wybrnięcie z jej ostrej fazy, przeżywanej przez nas obecnie, a mianowicie—kryzysu finansowego i monetarnego. Tak, jak ewentualne jego zakończenie nie zadecydowałoby bezwzględnie i natychmiastowo o podniesieniu się ogólnej konjunktury, tak też nie sposób sobie wyobrazić, aby bez sanacji stosunków na tym właśnie odcinku można było myśleć o likwidacji innych przejawów kryzysu. W tem zaś, co się tyczy specjalnie „kryzysu finansowo - monetarnego", czynniki psychologicznej natury, jak to już niejednokrotnie stwierdzono, odgrywają rolę decydującą. W rezultacie, o ile błędnem jest mniemanie (bardzo zresztą ostatnio rozpowszechnione), iż cała depresja światowa zlikwidowana zostałaby po pokonaniu „kryzysu zaufania", to jednak przyznać należy, iż w tej chwili — w okresie, gdy stwarza się warunki objektywne dla przezwyciężenia kryzysu finansowo-monetarnego, — sprawa zaufania politycznego, stanowiącego fundament dla zaufania finansowego, stoi na pierwszem miejscu w międzynarodowym problemacie kryzysowym.

Byliśmy ostatnio świadkami wyborów parlamentarnych i innych w dwuch wielkich państwach Europy. Wyniki ich nie zdają się, niestety, wskazywać, iż tworzą się istotnie właściwe warunki objektywne dla przezwyciężenia marazmu finansowego na kuli ziemskiej i dla przyczynienia się w tem przynajmniej sposób do zlikwidowania przynajmniej tego najbardziej bolesnego i ostrego wynaturzenia kryzysowego, w jakiem żyjemy. Mało jest we francuskich i niemieckich wyborach znamion dojrzałości politycznej społeczeństw i zrozumienia istotnego stanu rzeczy, o wiele więcej natomiast zwykłej reakcji „malkontentów", tak normalnej skądinąd w okresach „lat chudych". Wyborcy niemieccy wypowiedzieli się wyraźnie za „zmianą tego, co jest", za możliwie daleko idącem i zupełnie nieobliczalnem uaktywnieniem polityki zagranicznej, wewnętrznej i gospodarczej w Rzeszy. Wyborcy francuscy — w jedynej istotnej obawie o pokój — woleli poprzeć dość mętny i nieskrystalizowany pacyfistyczny i „anty-aljansowy" kierunek polityki zagranicznej obozu lewicowego, jakkolwiek w dziedzinie polityki gospodarczej obóz ten przychodzi obecnie z pomysłami bardzo obcemi dotychczasowemu rozwojowi gospodarczemu kraju, a jeszcze bardziej — indywidualistycznemu światopoglądowi przeciętnego francuza. I w Niemczech i we Francji zatem „vox populi" rozbrzmiał intonacjami emocjonalnemi, które nie mogą być uznane jako dobra prognoza nastrojów przed przełamaniem kryzysu zaufania...

W dziedzinie zjawisk gospodarczych brak również jaskółek jakiejś zmiany nastrojów. Bezprzykładne oszustwo Kreugera zatruło fatalnie atmosferę i tak ledwo budzącej się do życia aktywności finansowej. Marazm obecny jest większy niż kiedykolwiek. Rozświetlany bywa „intermezzami" w rodzaju waszyngtońskiej uchwały Izby Reprezentantów (Goldsborough - Fletcher Bill), ale takie nowiny mogą tylko spowodować przesunięcie się marazmu — panikę, a w żadnym razie już nie sposób mówić o przysparzaniu przez nie elementów zaufania skołatanemu światu.

Nawet jedyny ważny fakt — podkreślmy specjalnie to słowo — **jaki ujawnił się obecnie w całej pełni,**

nie wywołał skutków, jakie mógłby wywołać, gdyby był się objawił w inny sposób i w innej sytuacji ogólnej. Z pełną jasnością mogliśmy stwierdzić ostatnio, iż nikt nie będzie płacił, przynajmniej w najbliższym czasie, ani odszkodowań wojennych, ani wojennych długów międzysojuszniczych. Ale stało się to niejako siłą faktu, a nie naskutek akcji międzynarodowej, która mogłaby pokrzepić serca i ożywić nastroje. Zamiast wielkiego aktu solidarności międzynarodowej nastąpi, zapewne, za kilka tygodni w Lozannie ponowne — jak ktoś się słusznie wyraził — zaksięgowanie fikcyjnych wierzytelności i długów. Pod względem merytorycznym sprowadza się to poprostu do skreślenia w budżetach poszczególnych państw odpowiednich sum i do zniknięcia pewnej pozycji w bilansach płatniczych. Cały zaś czynnik psychologiczny — to, co w tej chwili jest najbardziej, być może, potrzebne — rozpłynie się w powodzi cyfr, klauzul i przemówień.

Tej wiosny 1932 roku — na tym kalendarzowym i kryzysowym przednówku — żądana od państw i narodów próba nerwów wymaga zespolonych sił, wyraźnej linji politycznej, zarzucenia niepotrzebnych imponderabiliów. Dziś najpoważniejsze decyzje państwowe zapadać muszą poto, aby zewrzeć to, co było rozdarte, umocnić to, co się zachwiało, załatać to, co pęka.

Jak na przednówku.

STEFAN MEYER

ROLA PRZEMYSŁOWCA

(WNIOSKI Z INTERWENCJONIZMU).*

Państwo może, ale nie musi, żądać za interwencję specjalnych świadczeń.

Rola przemysłowca w indywidualnej fazie kapitalizmu jest wyraźna i prosta: przemysłowiec jest właścicielem przedsiębiorstwa i jego kierownikiem. Celem jego działalności jest zwiększenie dochodu własnego; rozrost przedsiębiorstwa jest jedną z dróg, wiodących do tego celu, — jest celem podrzędnym. Jeżeli rozrost własnego dzieła, do którego każdego człowieka popycha instynkt, przekracza zdrowe granice, mamy do czynienia z jednym z rozmaitych wypadków błędnego planowania.

Przemysłowiec owego okresu ma „prawo użycia i nadużycia" swej własności i trzeba było mieć serce i umysł Bolesława Prusa, aby w „Powracającej Fali" kwestjonować, choć w jakże delikatnej formie, prawo przedsiębiorcy zniszczenia warsztatu pracy dla zadośćuczynienia własnej fantazji. Przedsiębiorca jest w swoim warsztacie czynnikiem decydującym. Dobro powszechne może w jego kalkulacjach odegrać pewną rolę; liczy się on niekiedy z korzyścią, jaką kraj z jego działalności odniesie, ale wzgląd ten rzadko gra rolę.

Wielką jest swoboda działania przemysłowca, pozornie nieograniczoną. Podlega ona tylko prawom rynku. Jeśli jednak przeciw tym prawom przemysłowiec wykroczy, jeśli popełni błąd, to za błąd gospodarczy odpowiada on przed sobą i swoją rodziną a sankcją tej odpowiedzialności jest stopa życiowa jego i jego najbliższych.

Formalnie sankcja ta uzewnętrznia się w bankructwie, w utracie tytułu własności, w utracie władzy nad danem przedsiębiorstwem, w utracie swobody decyzji, w obniżeniu stopy życiowej, jako ostatecznym skutku błędnych przewidywań.

Ale to samo obniżenie może być i lekarstwem, jeśli zastosowane zawczasu. Ograniczenie potrzeb własnych daje możność większej kapitalizacji wewnętrznej w przedsiębiorstwie i zwiększa jego zdolność konkurencyjną. Stąd przysłowie: „Oszczędnością i pracą narody się bogacą". Tutaj zaczyna się jednak pewna rozbieżność interesów (na krótką metę) pomiędzy przedsiębiorcą, jako właścicielem zakładu, a nim samym, jako tego zakładu użytkownikiem. Dopóki stopa życiowa przedsiębiorcy jest dużą pozycją w wydatkach zakładu, dopóty środek ten działać może.

Ale przedsiębiorstwa i ich potrzeby wzrastają szybciej, aniżeli ich rentowność i stopa życiowa właścicieli. Po przejściu w fazę akcyjną kapitalizmu, osoba przedsiębiorcy zaczyna się rozdwajać: mamy z jednej strony kierownika przedsiębiorstwa, jako przedstawiciela potrzeb samego zakładu, a z drugiej jakąkolwiek formę przedstawicielstwa interesów posiadaczy tytułów własności. Więc rozszczepienie na dyrektora i prezesa rady nadzorczej, lub innego organu, jakich ustrój owego czasu stworzył niemało. Ich rola jest różna, jak różne interesy, których bronią.

Dyrektor (a dla **prostoty** i przejrzystości obrazu przypuśćmy, że dla rozproszenia ryzyka inwestuje on swoje osobiste rezerwy kapitałowe poza tem przedsiębiorstwem, od którego powodzenia zależy jego los, że więc nie jest akcjonarjuszem firmy, którą prowadzi), dyrektor ma stanowisko zależne wprost od wielkości przedsiębiorstwa. W jego działalności rozmiar powierzonego mu warsztatu staje się celem głównym; czasami jeszcze podświadomie, często już zupełnie jawnie.

Cel Rady Nadzorczej jest inny: ma ona: zapewnić akcjonarjuszom rentowność posiadanego papieru; ma ona dbać, aby przedsiębiorstwo nie rozrosło się ponad miarę posiadanych kapitałów, aby też z drugiej strony nie nastąpiło przekapitalizowanie, obniżające rentowność, słowem, aby działalność dyrekcji była zgodna nietylko z interesem przedsiębior-

---

*) Przy czytaniu nin. artykułu należy mieć w pamięci tegoż autora: „Interwencjonizm" (Nr. 8 „Gospodarki Narodowej") oraz „Korektura dochodu społecznego" (Nr 9).

stwa, jako celu samego w sobie, ale także i z interesem właścicieli.
Tam, gdzie ci właściciele są przeliczalni i można ich wskazać, taka konstrukcja z fazy akcyjnej działa sprawnie. Dyrektor jest odpowiedzialny przed radą; sankcją tej odpowiedzialności jest utrata stanowiska. Rada jest odpowiedzialną przed walnem zgromadzeniem i sankcją jest ewentualny brak absolutorjum. Akcjonarjusz, za lekkomyślne zaufanie do rady, odpowiada stratą, jaką jest utrata wartości jego papierów. Najczęściej, wobec przeliczalności akcjonarjuszy, najważniejsi zasiadają w radzie i pojęcie rady i akcjonarjuszy zlewa się w jedno. Wyodrębnia się, jako wymagająca specjalnej opieki, formacja „drobnych akcjonarjuszy".
Sankcja efektywna, jaką w walce o bogactwo jest ubóstwo, może wchodzić w grę w obydwóch grupach, ale można jej uniknąć dzięki roztropności: akcjonarjusz, jeśli nie lokuje całego majątku w jednem przedsiębiorstwie, a rozkłada ryzyko na rozmaite walory; dyrektor zaś, jeśli w kontrakcie zawaruje odpowiednie warunki. Może wówczas przedsiębiorstwo iść źle, a dyrektor efektywnie stopą życiową nie odpowiada.

Zniżka stopy życiowej dyrektora, czy członka władz nadzorczych ex ante słabo bardzo odbija się na stanie przedsiębiorstwa. Ich wydatki osobiste są przeważnie nieznaczne w stosunku do potrzeb chwili firm potykających się, choć można zacytować i wypadki odwrotne.

Niezwykła elastyczność formy spółek akcyjnych sprawia, że stosuje się ją często do przedsiębiorstw fazy indywidualnej, co może niekiedy wprowadzić w błąd obserwatora. Stosuje się ją prawie zawsze do przedsiębiorstw fazy koncernowej. Przy pozornie tych samych, w grę wchodzących osobach, mamy tu już inny układ sił. Znikł akcjonarjusz - wspólnik, czy wskutek gry giełdowej, czy bankructw, kontakt jego z przedsiębiorstwem się zatraca. Tytuł własności się rozprasza. Należy przeważnie do innych spółek, często też akcyjnych, o niewiadomych, nieprzeliczalnych, co dzień innych akcjonarjuszach. Przedsiębiorstwo zaczyna byt samoistny. Spółka - właściciel deleguje do władz nadzorczych spółki podległej swoich funkcjonarjuszy, zależnych od pierwszej materjalnie silniej, aniżeli od rentowności nadzorowanego przedsiębiorstwa. Dyrektor zależy od swoich kolegów po fachu, którzy znów w innych spółkach podlegają jego nadzorowi.

Stopień swobody każdego organu jest tu mniejszy, aniżeli w spółkach fazy akcyjnej, a sankcje są jeszcze mniejsze. Rozmaite kompleksy spraw zostają z pod kompetencji dyrektora wyłączone i załatwione wspólnie dla całego koncernu w innej jednostce prawnej. Np. polityka sprzedaży, sprawy finansowe i i. Dyrektor przeradza się w administratora o ściśle sprecyzowanych dyrektywach. Biurokratyzm zmniejsza odpowiedzialność i inicjatywę. Organy nadzorcze wskutek przeplatania interesów konfekcjonują bilanse wespół z dyrekcją; odpowiedzialność jest dzielona, spychana coraz dalej: na władze nadzorcze organów nadzorczych. Straty wskutek tego nie dochodzą do efektywnych właścicieli, ale zyski przeważnie także nie. Coraz wyraźniej wzrasta udział państwa w zyskach. Jeżeli były błędne przewidywania to zniżka stopy życiowej pozornie nie następuje nigdzie, jakgdybyśmy stali na progu krainy wiecznej szczęśliwości. Błędy uchodzą często niespostrzeżone, lub niedocenione, niekiedy zatuszowane, jeśli większe to przerzucone na spółki posiadające, finansujące i t. p. Zyski i straty są kanalizowane poprzez system holdingów i umów ubezpieczeniowych lub przedstawicielskich. Hierarchja administracyjna przeradza się, nie po raz pierwszy zresztą w Europie, w feodalizm. Kto w tej fazie jest właściwie przemysłowcem?
W tym układzie stosunków z pośród licznego grona funkcjonarjuszów wielogłowego zarządu dóbr anonimowego właściciela wybijają się jednostki ambitniejsze i zdolniejsze i zdobywają wpływy nieraz niezupełnie współmierne z ich punktem wyjścia w hierarchji feodalizmu kapitalistycznego. Zasięg ich wpływów wzrasta z niezwykłą szybkością. Zjawisko to daje się zaobserwować najłatwiej w Niemczech, gdzie niektórzy dyrektorzy wielkich banków w ciągu jednego dziesięciolecia powyrastali na miarodajnych, decydujących członków licznych zarządów; niekiedy powyżej stu na jednego człowieka. Stanowią oni właściwą oligarchję współczesnego feodalizmu i są może najbardziej w fazie koncernowej przemysłowcami.
Amortyzowanie błędów fazy koncernowej przez poduszeczki zrośniętych firm i ujawnianie ich dopiero w momencie grożącej całemu koncernowi katastrofy, uzmysłowienie sobie, realne lub przesadne, strasznych społecznych lub gospodarczych skutków takiej katastrofy, — to otwarcie drzwi interwencji państwa, to wywołanie okresu interwencjonizmu.
Moment sanacji, moment interwencji, zastaje na rynku przedsiębiorstwa stojące we wszystkich trzech fazach rozwojowych.
Stosunek szukającego ratunku przedsiębiorcy fazy indywidualnej do państwa w okresie interwencyjnym jest wyraźny. Albo staje się on wprost dłużnikiem skarbu, albo korzysta przeważnie nieodpłatnie z jakiegoś przywileju i rola jego rozwija się dalej na płaszczyźnie fazy pierwszej kapitalizmu, albo też interwencja omija go i według klasycznych wzorów automatyzmu zjawisk gospodarczych zostaje on usunięty z widowni.
Rzecz się przedstawia w fazie akcyjnej podobnie: Zakres swobody dyrektora, z istoty stanowiska ograniczony do dyspozycji wewnętrznej, oraz częściowo zakupu, sprzedaży i spraw robotniczych, zostaje często za cenę interwencji w jednym, lub kilku punktach przez państwo zwężony. Poza dyrektorem i jego organem nadzorczym zjawia się w zarządzie przedsiębiorstwa nowy czynnik, państwo, którego ingerencja nie skrystalizowała się dotąd w żadnej określonej formie organizacyjnej. Celem tego trzeciego czynnika jest bronić w posunięciach przedsięwzięcia interesów dobra powszechnego.
Ale ta ingerencja jest dorywczą. Przeważnie za pojedyncze ustępstwa byt przedsiębiorstw zostaje uratowany. Wobec władz nadzorczych i akcjonarjuszy dyrektor jest w porządku. Błędy planowania, jeśli były, zostały naprawione, osobiste stanowisko dyrektora — uratowane (chyba że państwo, jako cenę interwencji postawiło warunki personalne).

Za popełnione ew. błędy płaci obniżką stopy życiowej nie ratowany przemysłowiec, a rozkłada się ona równomiernie na podatników, względnie konsumentów, czy innych interesantów danej grupy branżowej.

W ustroju interwencyjnym realna odpowiedzialność przemysłowca, w jego postaci dyrektora jest pozornie żadna, gdyż kontrola ex ante nie może mieć miejsca, a ex post stosowana jest dorywczo.

Tu też leży, zdawałoby się, najgłębsza różnica pomiędzy interwencjonizmem, a etatyzmem, gdzie kierownik warsztatu jest odpowiedzialny swem stanowiskiem. W istocie rzeczy tem samem odpowiada on i w fazie akcyjnej, gdy kontrola państwa ex post zaczyna być dla władz nadzorczych spółki zbyt bolesna.

Ta formalna nieodpowiedzialność przemysłowca współdziała przy dojrzewaniu hierarchji celów gospodarczych i skróceniu trwania interwencjonizmu. W fazie koncernowej — interwencjonizm wywołuje ten sam efekt, co wciągnięcie państwa do koncernu i vice - versa. Jeszcze przed interwencjonizmem znane było zjawisko (zwłaszcza w Anglji) przechodzenia tych samych ludzi od przemysłu do rządu i od administracji państwowej do administracji przemysłowej.

W okresie interwencjonizmu organizmy te przenikają się tak doskonale, że nie wiadomo, czy przemysł istnieje poto, aby dawać dochód, którego gros pochłania państwo, a drobny ułamek ci akcjonarjusze — jednostki ludzkie, którzy posiadają realny udział w koncernie, czy też dla pełnienia potrzebnej społeczeństwu, lub państwu funkcji produkcji. Państwo zaś interwencję swoją posuwa tak głęboko. że zmienia ad hoc strukturę opłat społecznych, lub konstrukcję cen sprzedaży wewnętrznej i wywozowej; gra ono rolę organu nadrzędnego koncernów. Powstaje właściwie dobro powszechne: — Rzecz Pospolita, w której jedno tylko daje się ustalić: zrąb przyszłej elity kierowniczej.

Jeżeli w tej fazie nie zostaje ustalona hierarchja celów gospodarczych, dobro powszechne może zostać zużyte w imię hierarchji interesów, albo też brak elity kierowniczej może rozpętać bellum omnium contra omnes, — spotęgować najgorszą stronę liberalizmu gospodarczego — bez jej uzdrawiającej korektury — bez automatyzmu zjawisk gospodarczych.

Przy tej interdependencji i ciągłej osmozie funkcjonarjusze państwa, czy przemysłu, jako jedyny tytuł do osiągnięcia zajmowanego stanowiska mają walory osobiste: talenty umysłu, czy zalety charakteru. Wobec dysproporcji pomiędzy ogromem stanowisk i władzy a wielkością własnych środków pieniężnych pozostaną oni zawsze funkcjonarjuszami, zależnymi od innych funkcjonarjuszy.

Przemysłowiec w okresie interwencjonizmu pozostaje w fazie indywidualnej, częściowo w fazie akcyjnej. W fazie koncernowej w tym okresie właściwie niema już przemysłowca. Rola jego się skończyła.

WŁADYSŁAW DIAMAND

INTERWENCJONIZM I KAPITALIZACJA WEWNĘTRZNA

Interes kapitalizacji wewnętrznej wymaga takiej ingerencji państwa w sprawy gospodarcze, któraby zapobiegła eksploatowaniu Polski przez pracujący w niej kapitał zagraniczny.

Polska cierpi na brak własnych kapitałów. Wołanie o stworzenie warunków, sprzyjających wewnętrznej kapitalizacji, jest ze wszechmiar uzasadnione. Jako kraj niebywale taniej pracy ludzkiej nie mamy szans odbudowy kapitałów w sposób szybki i dostateczny na drodze drobnych oszczędności z zarobków, robocizny lub innego wynagrodzenia szerokich mas pracowniczych. Podstawą odbudowy kapitału może się stać tylko kapitalizacja zysków.

W jednym z ostatnich numerów „Przeglądu Gospodarczego“ podał p. E. Rose cyfry polskiego krótkoterminowego zadłużenia z czasu przed gwałtownym odpływem kapitałów na znaczną jego spłatę. Cyfra ta opiewała na 3.000.000.000 zł. Licząc, że zadłużenie to oprocentowane było przeciętnie nie drożej aniżeli na 8 — 9 proc. p. a., opłacaliśmy rocznie z tego tytułu na rzecz zagranicy około ¼ miljarda zł. Podobna cyfra figuruje w naszym bilansie płatniczym jako oprocentowanie i raty amortyzacyjne długoterminowych długów publicznych, zaciągniętych zagranicą. Nie będzie przesadą, jeżeli tytułem spłat dokonywanych zagranicy w formie jawnych i ukrytych zysków z własności przemysłowej w Polsce, udziałów w bankach, ubezpieczeniach, transporcie, handlu itd. przyjmę jeszcze ¼ miljarda złotych, i ogólną sumę rocznego odpływu zysków z Polski ocenię na ¾ miljarda. Zachowanie tych zysków w kraju przez cztery — pięć lat postawiłoby Polskę w rzędzie zamożniejszych krajów europejskich, w każdym razie przestalibyśmy odgrywać rolę wiecznych petentów na rynkach pieniężnych świata.

Czy wobec tak wielkich płatności może istnieć jeszcze (inny sens) żądania wewnętrznej kapitalizacji, jak tylko ten, by odpływ ten możliwie zmniejszyć, a jeżeli to nie byłoby możliwe pomimo znacznej spłaty zadłużenia krótkoterminowego, by nie dopuścić do dalszego jego wzrostu? Czy nie jest śmieszną dysproporcją szukać źródeł dla wewnętrznej kapitalizacji w zmniejszeniu płac, świadczeń i podatków przy równoczesnem dążeniu do przyciągania za wszelką cenę i w każdej formie dalszych kapitałów zagranicznych? Każdy nowy zysk osiągnięty na tej drodze odpłynąłby znowu zagranicę i tamby się skapitalizował, ale nie w Polsce. Przy obecnym nastawieniu polityki gospodarczej, zdrowszą rzeczą dla kraju wydaje się nawet najbardziej szkodliwe obciążenie świadczeniami i podatkami, i błogosławieństwem są wszelkie plagi utrudniające rentowność gospodarstwa, które bądź co bądź zatrzymują zyski w kraju, i działając odstraszająco na niektóre rodzaje dopływu kapitałów obcych, chronią kraj przed popadnięciem w ostateczną niewolę gospodarczą.

Twierdzenie to zapewne uznają niektórzy za nonsens lub herezję. Mnie to nie straszy. Dla przyszłości kraju, dla naszego własnego prawa do pracy we własnym kraju, niezależnie od tego, czy to odpowiada interesom kapitału zagranicznego czy nie. zdrowszą rzeczą jest odstraszanie kapitałów obcych wogóle, aniżeli otwieranie na oścież drzwi dla kapitałów wszelkich, aniżeli naginania polityki gospodarczej i finansowej do potrzeb kokieterji. Lepiej

przebiedować jeszcze trochę przez czas krótki, aniżeli za drobną chwilową ulgę płacić biedą na dziesiątki lat. Stosunki żyrardowskie nie powinny się módz powtórzyć. Miast wymarłych, ludzi zrozpaczonych, gałęzi produkcji zakorkowanych dlatego, że się to zagranicy lepiej opłaca, Polska więcej nie potrzebuje.

Dla przypodobania się kapitałom zagranicznym, niektóre nasze t. zw. „sfery gospodarcze" sprzeciwiają się wszelkiemu interwencjonizmowi państwowemu w życie gospodarcze, poza żądaniem ochrony celnej, ulg w podatkach i świadczeniach, premij wywozowych itd. Dla zasady czy doktryny gotowe są one poświęcić olbrzymie działy życia gospodarczego Nie godzą się ci panowie na interwencje Państwa, mogące krajowi zaoszczędzić dziesiątki miljonów złotych rocznie kosztów cudzego pośrednictwa w przywozie zamorskim surowców włókienniczych itd., nie godzą się na uprawnienia do regulowania rozwoju przedsiębiorstw nawet w wypadkach, gdy rozwój ten połączony jest z jawnym wyzyskiem kraju i tysiącami nowego bezrobocia.

Nikt nie zamierza przeczyć potrzebie przyciągania do Polski obcych kapitałów, ani też dbania o dobre mniemanie zagranicy o Polsce. Nie jest to jednak równoznaczne z przyciąganiem kapitałów za wszelką cenę, z robieniem z Polski cudzej kolonji gospodarczej, uzależnionej w swoim rozwoju gospodarczym od tego, czy się to obcym wierzycielom podoba lub nie. Dobre wrażenie bynajmniej nie idzie w parze z „otwartemi drzwiami" na wzór chiński, lub południowo - amerykański. Jak długo można będzie Polskę eksploatować, tak długo nie warto Polsce udzielać normalnych kredytów.

Polsce nie są potrzebne kapitały eksploatacyjne, lecz albo kapitały pionierskie albo pożyczkowe na dogodnych warunkach. Wszelki dopływ kapitałów obcych winien poza robocizną pozostawić w Polsce conajmniej część zysku z pracy zasilonego przezeń działu gospodarstwa. Obywatele polscy pragną mieć to samo prawo do pracy i rozwoju, co obywatele innych wolnych krajów, nie chcą być bezrobotnymi niechcą się poniewierać w nędzy materjalnej, duchowej i kulturalnej na to tylko, by się przysłużyć zagranicy, tylko dlatego, że sami nie mamy kapitałów, a zagranica je posiada.

Bardzo szanuję zasady „sfer gospodarczych". Przeczę jednak, by one były zdrowe dla istnienia i rozwoju życia gospodarczego". Te zasady ekonomiczne byłyby może na miejscu nawet i w Polsce kilkadziesiąt lat temu, pomimo, że Polska nigdy nie była krajem handlowym. Własna angielska ojczyzna tych zasad umieściła je w muzeum czcigodnych pamiątek. Zmieniły się bowiem czasy. Wtedy, gdy zasady te rządziły światem anglosaskim i znajdowały młodych entuzjastów w innych krajach, trwał jeszcze wyścig o zajmowanie coraz to nowych odkrywanych i poznawanych rynków konsumcyjnych, nowych terenów emigracyjnych itd. Walka toczyła się o pierwszeństwo zajęcia wolnych rynków. Ekspansja odbywała się wszerz i wszelka swoboda indywidualnej inicjatywy i ruchów sprzyjała wygranej. Dziś rzeczy te należą do niepowrotnej przeszłości. Walka toczy się o rynki już zajęte przez konkurenta, o jego własne rynki wewnętrzne tak samo jak i o rynki zewnętrznego jego zbytu. Trwamy już w walce najostrzejszej, w której wprzęgnięte są zarówno środki polityczne jak i broń finansowa. Swoboda ruchów przestaje być w takich warunkach tabu. Obrona może wymagać ofiar z wygody. Rzeczy te wymagają pewnego oświetlenia przykładowego, dla lepszego uwypuklenia różnic między kapitałem eksploatacyjnym, szkodliwym, i kapitałem, jaki należy przyciągać. Dla przykładu niech służą np. przemysł sztucznego jedwabiu, papierniczy, naftowy i obuwiany.

Produkcja sztucznego jedwabiu korzysta z licznych bardzo patentów, tajemnych recept, sztuczek chemicznych i mechanicznych itd. Przemysł ten zorganizowany jest w świecie w wielkich koncernach, skupiających wynalazki wartościowe, czasem dla ich wykorzystania, czasem dla uniemożliwienia skorzystania z nich przez konkurencję lub powstania nowej konkurencji. Teoretyczne podstawy produkcji nie są jeszcze dobrze poznane, empirja odgrywa kolosalną rolę, eksperyment w skali małej i wielkiej często dają odmienne wyniki. Postawienie niewielkiej fabryki, samo przez się kosztujące miljony, pochłania krocie często nim się wyprodukuje przędzę odpowiedniej jakości i standartu, jeżeli nie można korzystać w pełni z cudzego doświadczenia możliwie zebranego w takich samych zupełnie warunkach. Jeżeli zagranica była pierwszym wynalazcą, jeżeli zagranica jest właścicielem patentów i tajemnych recept itd. założenie przez kapitał zagraniczny fabryk, dających pracę kilku tysiącom ludzi, jest nader pożądane. Bez kapitału zagranicznego rzecz taka nie jest do zrobienia, nawet gdyby zebrano w Polsce potrzebny kapitał inwestycyjny kilkudziesięciu miljonów złotych na każdą fabrykę. Jeżeli natomiast fabryki te zaczynają u siebie wykonywać niektóre funkcje, które przedtem robił kto inny, np. nitkować przędzę, farbować ją itd., to jest to nader korzystne dla zagranicznych akcjonarjuszy, jednak nie dla kraju, gdyż zysk z tych czynności z kraju odpłynie. Rzeczy te wykraczają już powoli poza pożądana pionierkę.

Przemysł papierniczy w Polsce należy oddawna do jednego z najlepiej prosperujących. Pracuje on przecież u samych podstaw surowcowych, jest stosunkowo mniej obarczony kosztem drzewa od przemysłów większości krajów Europy, gdyż nie potrzebuje opłacać chociażby dalekiego transportu drzewa. Pomimo dobrych zysków i zebranych z nich kapitałów przemysł ten nie nasyca zapotrzebowania kraju, posiada ceny wyższe od cen zagranicznych bez cła, kartelizuje się dla obrony tych cen i niezależnie od ew. dumpingu zagranicznego potrzebuje ochrony celnej. (Przywóz w roku 1930 przekraczał 26 miljonów, w roku 1931 — 16 miljonów zł.). Gdyby zatem w tej dziedzinie powstała nowa fabryka, oparta o kapitał zagraniczny, wypełniłoby to braki w nasyceniu rynku, zyski wywiezione z produkcji z nadwyżka byłby skompensowane zmniejszeniem przywozu, a nowa konkurencja wprowadziłaby może w branżę zasypiająca nieco walki wzajemnej i ruchu. Taki dopływ kapitału nie byłby złym. Jeżeli natomiast dopływ ten miałby na celu zamiast budowy nowych fabryk lub rozszerzenia i modernizacji fabryk dawnych, zwykły wykup rzeczy gotowych lub zasilenie kapitału obrotowego wzamian za udział w zyskach większy od normalnego procentowania kredytu, dopływ kapitału nie byłby pożądany.

W przemyśle naftowym dopływ kapitału jeszcze łatwiej stać się może rzeczą obosieczną i darem Danaów. Pomijając polityczny często charakter tego kapitału, rewolucje, zamachy itp. rzeczy znane z hi-

storji jego ekspansji, czysto gospodarczo miewa on bardzo rozmaite oblicze. Jeżeli prowadzi on wiercenia pionierskie, jak w historji polskiego nafciarstwa kiedyś Mac-Garwey lub niektóre kapitały niemieckie, należy go gorąco popierać, nawet gdy szansa wygranej jest bardzo znaczną. Dookoła udanych wierceń pionierskich gromadzą się liczne wiercenia eksploatacyjne mniej ryzykowne, które pozostawią dla przemysłu i kapitału krajowego zawsze jeszcze pole dla zdobycia zysku i jego kapitalizacji.

Jeżeli kapitał naftowy nabywa uprawnienia górnicze i tereny po to, by kto inny na nich nie mógł wiercić, jest on jawnym wrogiem. Do wstrzymania wierceń powołane jest państwo, a nie kapitał prywatny. Jeżeli kapitał zagraniczny ogranicza się tylko do wierceń eksploatacyjnych na terenach znanych, zaczyna się eksploatacja niepożądana, szkodliwa dla kraju. Gdy kapitał zagraniczny opanowuje rafinerje, staje się on szkodliwym, jak w wypadku wierceń eksploatacyjnych, a obok tego niebezpiecznym, bo wywiera przemożny wpływ na wiertnictwo i jego konjunktury. W wypadku takim i braku silnych krajowych i rafineryj, idących po linji ogólnych potrzeb kraju, obrona interesów kraju spada na interwencjonizm Państwa lub jego wkroczenie na tor własnej produkcji. Z tych przyczyn przedwojenna Austrja musiała zamknąć świeżo zbudowaną amerykańską rafinerję Standart Oil Co. w Dziedzicach, z przyczyn tych Państwowa Rafineria Olejów Mineralnych w Drohobyczu była rozbudowaną i pozostać powinna w ręku Państwa. Wchodzimy bowiem na teren walki nierównych kapitałów, na którym siły polskie są niepomiernie słabsze. Jedynie pomoc państwa zdolną jest wytworzyć równowagę sił, salwującą jako tako interesy kraju. Jesteśmy na pograniczu, na którem interwencjonizm i t. zw. etatyzm staje się racją stanu i nie martwi nas, że ew. utrudnia to dopływ kapitału obcego dla dalszego opanowania wpływów w rafinerjach i sprzedaży detalicznej olejów mineralnych.

Teraz *przemysł obuwiany*. Pod Oświęcimem buduje się fabryka Baty, fabrykanta czeskiego. Zapowiedziane jest, że fabryka ta ma na przestrzeni czterech do pięciu lat osiągnąć produkcję 100.000 par dziennie, co przekroczy obecne całe zapotrzebowanie Polski. Pozbawi to pracy około 100.000 ręcznych producentów szewców oraz licznych szewców reparacyjnych, odbierając im około 100.000.000 zł. rocznego zarobku. Producent tej wielkości będzie monopolistą, opanuje, rzecz zrozumiała, całe garbarstwo, nawet gdy się nie stanie jego właścicielem, oraz opanuje cały skup polskich skór surowych na potrzeby polskie i czechosłowackie. Bata jest najbogatszym człowiekiem w Czechach, rozporządza wielomiljonowemi kapitałami. Organizuje w Polsce własną rozległą sieć sprzedażną, gdyż wie, że produkcja polska nie posiada dostatecznych kapitałów, by go na tej drodze doścignąć, gdyż wie, że przez to zniszczy aparat zbytu produkcji polskiej. Roczny zbyt obuwia wysokości około 20.000.000 par przy cenie przeciętnej 20 zł. przedstawia wartość około 400 milj. zł. Obecnie zarówno garbarz, jak kupiec skór, jak szewc, jak kupiec obuwiany pragną zarobić, każdy conajmniej po 5% wartości sprzedanego przez siebie towaru. Załóżmy rzecz nieprawdopodobną, że przyszły monopolista za skup skór surowych, oddanie ich do garbowania lub garbowanie we własnym zakresie za produkcję obuwia i jego sprzedaż zechce zarobić tylko połowę (ze względów — dajmy na to — ideowych) czyli w sumie około 7½% od obrotu. Zysk netto, uchodzący rocznie zagranicę, wynosiłby wtedy 300.000.000 złotych albo i więcej. Pozatem zagranicę odpłynie różnica między ceną kupna skór surowych na potrzeby Czechosłowacji i innych krajów, zgniecioną przez monopolistę a ceną podtrzymaną przez wzajemną konkurencję wielu polskich obecnych producentów obuwia lub samodzielnych garbarni. Pozatem odpłynie zagranicę ekwiwalent administrowania polskiem przedsiębiorstwem z centrali czeskiej w Zlinie, zyski zakupów skór zagranicznych, dokonywanych przez centralę zagraniczną i t. d. Maksymalny zaś koszt inwestycyj potrzebnych w tym celu wynieść może do 50.000.000 zł. Mielibyśmy zatem amortyzację całego wniesionego do Polski kapitału obcego (z którego zaledwie 2/5 wpłynęłyby w formie kapitału pieniężnego, a nie towarowego) rocznie w wysokości ponad 50%. Są to warunki eksploatacyjne podziwu godne. Ponad 50% amortyzacji rocznie plus około 10.000 nowych bezrobotnych ma jednak swoją specjalną wymowę. Dla tego, kto jest w ten sposób eksploatowany, rzecz taka przedstawia się jako powiedzmy drobny skanadal, że do tego dopuszczono. Tu o jakiejkolwiek reszcie zysków na wewnętrzną kapitalizację niema już bezwarunkowo mowy.

Pomimo, że zanosi się na tego rodzaju eksploatację, doprowadzoną do perfekcji, pewni reprezentanci t. zw. „sfer gospodarczych" i w tym konkretnym zupełnie wypadku są przeciwni uprawnieniom dla Rządu do interwencji, wyraźnie odsunęli od głosu i wpływu czynniki zainteresowane w takiej interwencji, gdy ich zapytywano o opinję „sfer gospodarczych". Czy zdają oni sobie sprawę, że kierunek ich polityki, ich tezy gospodarcze, przełożone na język polski, brzmią: „Obywatel polski nie ma prawa pracy, gdy nie posiada kapitałów, zdolnych do zwycięskiej walki z największymi konkurencyjnymi kapitałami świata"? Są to hasła i polityka gospodarcza, prowadząca Polskę do niewoli. Mając do wyboru między nie wiedzieć jak ciężkimi i nadmiernymi ciężarami społecznemi i podatkowemi, które odstrasza wszelki kapitał obcy, a tą polityką, każdy, kto dba o własną swoją przyszłość i przyszłość następnych pokoleń, wybierze to pierwsze, gdyż to conajmniej w niektórych przypadkach odstraszy kapitały eksploatacyjne, a gdy nastaną jaśniejsze poglądy w „sferach gospodarczych" istnieć może jednak będą jeszcze pola pracy gospodarczej nie całkiem zaprzepaszczone. Nie jest to kwestja patrjotyzmu, jest to kwestja instynktu samozachowawczego i zwykłego chłopskiego rozumu. W warunkach polskich nie jest możliwą polityka, wykluczająca ingerencję państwa w sprawy gospodarcze. Bez tej ingerencji, bez interwencjonizmu w licznych wypadkach nie może być wewnętrznej kapitalizacji.

Od Redakcji. Redakcja zaznacza, że dla zapoczątkowania dyskusji na temat, któremu poświęcony jest powyższy artykuł, udzieliła miejsca autorowi, stojącemu zdala od naszego pisma.

Pozatem przypominamy, że zagadnienia pokrewne były poruszone na łamach „Gospodarki Narodowej" jeszcze w r. ub., a m. in. w artykule p. M. Smereka „Nieporozumienia na temat bilansu handlowego i płatniczego" (Nr. 16).

UWAGI

CZEKAMY NA CIĄG DALSZY.

Obniżenie cen żelaza i wyrobów monopolu spirytusowego zasługuje na najbaczniejszą uwagę społeczeństwa. Nie dlatego, żeby te posunięcia mogły wywołać bezpośrednio doniosłe skutki gospodarcze. Obniżki są zbyt małe (w obu wypadkach około 10%) i obejmują zbyt szczupły asortyment towarów, aby mogły oddziałać poważnie na ogół kosztów produkcji (żelazo), albo na wyparcie tajnego gorzelnictwa (wyroby wódczane). Podstawowe natomiast znaczenie posiada fakt, że obie obniżki stanowią pierwszy krok w kierunku, którego realność była poważnie kwestjonowana, a zatem mogą stanowić pożądany precedens na przyszłość.

Pewnym ludziom, pewnym grupom, ba, nawet pewnym krajom zdawało się, a niektórym jeszcze się zdaje, że dzięki szczególnym przywilejom losu uda im się uniknąć przykrych konsekwencyj kryzysu, które dotykają innych. Normalne, klasyczne konsekwencje kryzysu są rzeczywiście nader ciężkie: zmniejszenie wytwórczości, spadek cen, obniżenie płac i świadczeń, redukcja budżetów, likwidacja części zadłużeń i połączona z nią likwidacja warsztatów, pozbawionych mocnych podstaw, reorganizacja pozostałych, ogólne „zaciśnięcie pasa", — te wszystkie procesy likwidacyjne z reguły następują opornie i dopiero pod naciskiem konieczności. Nietylko jednostki, ale i grupy i rządy szukają środków magicznych, któreby umożliwiły niestosowanie, opóźnienie stosowania, albo łagodne stosowanie posunięć bolesnych. Łudzą się, że potrafią przeczekać, aż kryzys się skończy, gdy trwałość kryzysu jest uwarunkowana właśnie powolnością procesów likwidacyjnych. Każdy miesiąc obala te nadzieje, przynosi rozczarowania, a jednak jeszcze trzymają się bardzo poważne twierdze złudzeń. Koncentracja przedsiębiorstw i koncentracja kapitałów, możność stwarzania sobie pozycyj zupełnych albo niezupełnych monopolistów w poważnych gałęziach życia gospodarczego, stworzyły warunki większej trwałości tych złudzeń niż to mogło mieć miejsce podczas kryzysów poprzednich, a tem samem warunki większej trwałości kryzysu. Na niektórych odcinkach to zjawisko zostało już dość powszechnie zrozumiane. Wszyscy bodaj ekonomiści są zgodni, że gdyby nie fałszywa polityka Federal Farm Board'u i kanadyjskiego pool'u w latach 1929/30 i 1930/31, rolnicy Północnej Ameryki conajmniej o rok wcześniej zmniejszyliby zasiewy pszenicy (hasło b. prezydenta Coolidge'a z r. 1928), co pozwoliłoby zlikwidować trwające przeciążenie rynków. Gdyby niektóre kraje cukrownicze nie łudziły się, że potrafią przetrzymać innych i zebrać zyski, gdy inni skurczą produkcję — niewątpliwie stworzonoby już podstawy normalnego rozwoju produkcji w przyszłych latach. Wielu nieustępliwych wierzycieli, którzy spodziewali się w dobie rosnącej siły nabywczej pieniądza utrzymać nominalną wysokość swych dochodów przekonało się już dotkliwie, że rujnowanie dłużnika nie jest dobrym interesem. Pomimo to, ogół wierzycieli dotąd nie wyciągnął konsekwencyj z kryzysu i łudzi się mocą swych pozycyj, obwarowanych świętością prawa cywilnego. Podobnie łudzą się dotąd monopoliści, tak prywatni, jak i publiczni, skoro sądzą, że sparaliżowanie normalnego działania prawa podaży i popytu pozwoli im na dowolne regulowanie cen bez liczenia się z rzeczywistością gospodarczą.

Ci, którzy twierdzą, że możliwe jest zlikwidowanie kryzysu, a przynajmniej stworzenie warunków, w których trwalsza poprawa mogłaby nastąpić, w inny sposób niż przez dostateczne obniżenie cen, obciążeń i kosztów produkcji, a więc inaczej, niż były likwidowane kryzysy XIX w. winni wskazać, jak sobie mechanizm tej poprawy wyobrażają. Dotąd znamy tylko jeden środek — inflację. Środek ten jest równoznaczny z obniżeniem cen, płac i obciążeń dłużnych, a zatem mógłby być uważany za proces likwidacyjny, gdyby nie stwarzał przedwcześnie warunków podnoszenia się płac i cen. Ponadto środek ten nie może być stosowany trwale, a jego zaniechanie jest równoznaczne z wywołaniem kryzysu. Niszczy on, jak wiadomo, podstawy kredytu i kapitalizację. Z tych wszystkich przyczyn przeciwnicy normalnych procesów likwidacyjnych odżegnywują się przeważnie i od inflacji.

Dużą trudność stanowi zagadnienie kolejności procesów likwidacyjnych. Ci z pośród przedstawicieli świata kartelowego, którzy przyznają w zasadzie konieczność obniżenia cen, żądają jednak uprzedniego obniżenia obciążeń i płac. Przedstawiciele robotników, którzy rozumieją niemożność utrzymania nienaruszalności poziomu płac normalnych, żądają przedewszystkiem obniżenia cen. Państwo, jako przedsiębiorca monopolowy, uzależniać musi obniżenie cen od możliwości oszczędzenia na nabywanych towarach kartelowych i na płacach. Nawet niektórzy wierzyciele (ci, niestety, nie są liczni) deklarują gotowość przyznania ulg dłużnikom, jeżeli obniży się ogólny poziom cen i wzrośnie zaufanie w życiu gospodarczem. Istotnie, elementy tego życia nawzajem się zazębiają i uzależniają.

Decyzja, kto pierwszy ma zrezygnować ze stanowiska „przeczekiwania" innych jest niewątpliwie trudna. Ułatwiłoby ją jednak znacznie dokładne zrozumienie dwóch momentów: 1) że na wszystkich odcinkach niezorganizowanych (rolnictwo, znaczna część przemysłu, rzemiosła i handlu) ofiary zostały już poniesione i procesy zniżkowe postąpiły bardzo daleko, a i na niektórych odcinkach zorganizowanych zrobiono ważne posunięcia (płace pracowników państwowych, odroczenia podatkowe); 2) że nieustępliwość lub brak decyzji nie zapobiegną poniesieniu ofiar przez zainteresowane grupy, a dodadzą do nich straty, związane z dłuższem trwaniem kryzysu.

Z wielu względów byłoby najbardziej pożądane, by ofiary poniesiono równocześnie. Byłyby one wówczas częściowo wzajemnie rekompensowane, a zatem wszystkie zainteresowane czynniki: przedsiębiorca, kapitalista, pracownik i Państwo ponieśliby stosunkowo najmniejsze straty. Ponadto w atmosferze ogólnego kompromisu łatwiej jest psychicznie pogodzić się z ofiarami Wreszcie wiadomo, że atmosfera oczekiwania zniżki cen uniemożliwia ożywienie obrotów, a po dokonanej zniżce, dostatecznie radykalnej, ta atmosfera uległaby rozproszeniu. Jeżeli jednak z tych czy innych przyczyn, a zwłaszcza z powodu pielęgnowania przez część zainteresowanych nadziei, że „przetrwają" innych, takie wielkie porozumienie jest trudne do osiągnięcia, dobrze, je-

śli procesy likwidacyjne potoczą się możliwie szybko choćby w tej kolejności, jaką im narzuci życie. Po żelazie i wódce, oraz automatycznem zmniejszeniu taryfy pocztowej (przez wygaśnięcie dodatków na Fundusz Bezrobocia), przychodzą, jak słychać, redukcje niektórych taryf kolejowych, co już może się odbić na kosztach obrotu gospodarczego, jeżeli będzie przeprowadzone w dostatecznym zakresie. W zupełności dojrzała wydaje się obniżka cen cukru, soli, nawozów potasowych, produktów rafineryjnych. Trudności na innych frontach muszą zostać przezwyciężone. Im prędzej tem mniejsze ofiary będą konieczne. Ostatnie zniżki stanowią wyłom w zasadzie nienaruszalności cen kartelowych i monopolowych. Wyłom ten musi być rozszerzony. Czekamy na ciąg dalszy.

J. Poniatowski.

STOLICA.

W okresie tworzenia się nowego państwa Polskiego procesy gospodarcze, wynikające ze zrastania się w jedną całość trzech dawnych zaborów były tak silne, że politycy gospodarczy nie tylko nie mogli ich opanować, ale nawet częstokroć zdać sobie sprawy z ich kierunku i siły działania. Czyniono i czyni się dotychczas wiele zarzutów, że w ciągu lat kilkunastu istnienia Polska nie wytworzyła dotychczas „jednolitej myśli gospodarczej", któraby pozwoliła na nadanie określonego kierunku dalszemu rozwojowi gospodarki narodowej. Wydaje mi się, iż zarzuty te są niesłuszne, gdyż nie przypuszczam, by jakikolwiek bądź plan mógł decydująco wpłynąć na wciąż jeszcze trwające procesy etrukturalne zrastania się organizmu gospodarczego Polski. Zresztą problem istnienia planu gospodarczego stanowi właściwie sedno zagadnienia, jaki system gospodarczy jest lepszy, liberalizm, czy interwencjonizm. Nie da się więc on traktować w ramach szczupłej notatki. Istnieją jednak działy życia zbiorowego, które od czasów najdawniejszych stanowią objekt troski ze strony państwa i są poniekąd naturalnym terenem działania interwencjonizmu. Są to przedewszystkiem te wszystkie „potrzeby zbiorowe" (term. Cassla), zaspakajanie których połączone być musi z nadwyżką nakładu w stosunku do efektu, które więc są „nieopłacalne", a które przez to nie pobudzają do życia produkcji prywatnej. Należy tutaj zaliczyć np. utrzymanie szkół, szpitali i t. d. Większość sum przeznaczonych przez państwo na tego rodzaju cele ma jako teren działania niewielką ilość ośrodków miejskich. Stąd polityka urbanistyczna jest najwdzięczniejszym objektem akcji interwencjonistycznej państwa.

Trudno jednak jest oprzeć się wrażeniu, że właśnie w dziedzinie polityki urbanistycznej panuje u nas całkowita bezplanowość.

Najważniejszem zagadnieniem polityki urbanistycznej państwa jest problem stosunku stolicy do innych większych miast w kraju. Innemi słowy zagadnienie, czy państwo dąży do możliwego scentralizowania życia gospodarczego, kulturalnego i t. d. w stolicy, czy też popiera regjonalizm. Sprawa regjonalizmu była już kilkakrotnie dyskutowana, za mało jednak miejsca w tych dyskusjach zajmowała jak dotychczas strona gospodarcza zagadnienia.

Poza problemem centralizacji, czy decentralizacji polityka urbanistyczna państwa ma jeszcze jedno specjalnie trudne zagadnienie do rozwiązania. Zagadnienie to można byłoby nazwać problemem stolicy.

Ten problem stolicy jest właśnie u nas specjalnie aktualny.

Nie chodzi już nawet o przysłowiową złą administrację miejską stolicy. Warszawa ma bowiem szereg braków i bolączek, których rozwiązanie leży daleko poza możliwościami działania samorządu miejskiego.

Problem stolicy da się ująć obecnie już jedynie jako zagadnienie ogólno-państwowe.

Dla zrozumienia istoty tego zagadnienia trzeba sobie zdać sprawę, że Warszawę cechuje katastrofalny brak wszelkich urządzeń koniecznych dla wygody mieszkańców (specjalnie przedmieść) jak bruki, kanalizacje etc., a w szczególności że Warszawa posiada środki komunikacji nieodpowiednie do natężenia życia wielkomiejskiego. Pozatem Warszawę otacza okolica biedna, której zacofanie gospodarcze (specjalnie terenów na wschód, w pasie kilkudziesięciu kilometrów od stolicy), pod bokiem przeszło miljonowego miasta stanowi swego rodzaju „curiosum", jak na stosunki europejskie. Okolice te nietylko są zaniedbane pod względem inwestycji publicznych jak drogi, budynki użyteczności publicznej i t. d., lecz stoją również na bardzo niskim poziomie kultury rolnej. Przeciętna wydajność z hektara jest niższa od przeciętnej z całej Polski, brak jest koniecznych meljoracji, znaczną przestrzeń zajmują nieużytki i „pół-nieużytki", ogrodnictwo i sadownictwo stoją na bardzo niskim poziomie, brak jest również dobrze postawionych gospodarstw hodowlanych. Dla jasności zaznaczam, że mówiąc o gospodarczem zacofaniu okolic Warszawy biorę za podstawę porównań przeciętny stopień rozwoju gospodarczego innych okolic Polski, w stosunku do których tereny podwarszawskie odbijają ujemnie. Ten stan rzeczy nie da się tłumaczyć okolicznością, że tereny podwarszawskie były pozostawione „same sobie", gdyż w takim razie okolice te w myśl znanej teorji Thünena o stopniowaniu intensywności kultury rolnej w zależności od odległości do środowisk miejskich, musiałyby posadać wyższy stopień kultury, Można tu się dopatrzeć więc działania czynników gospodarstwa publicznego (państwowego i samorządowego) tamującego rozwój gospodarczy okolic podstołecznych.

Analiza udziału stolicy w życiu gospodarczym kraju jest rzeczą trudną do przeprowadzenia. Wymaga ona w każdym razie gruntownych badań. Istnieją jednak pewne dane orjentacyjne, które być może dają jedynie obraz powierzchowny, który wydaje się mimo to odpowiadać rzeczywistemu stanowi rzeczy. Badając np. stopień kapitalizacji w stolicy w porównaniu z innemi miastami Polski na podstawie np. danych P. K. O., widzi się, że w Warszawie akumulacja kapitałów odbywa się w znacznie powolniejszem tempie niż np. w Krakowie. Jest to naturalny wynik tego stanu rzeczy, że udział Warszawy w całości życia gospodarczego kraju nie odpowiada jej roli i jej wielkości. Oprócz nędzy proletarjatu miejskiego, Warszawa ma jeszcze do zwalczania nędzę proletarjatu wiejskiego, pochodzącego z gęsto zaludnionych, a gospodarczo nisko stojących okolic podmiejskich. Przy powolnem tempie kapitalizacji w stolicy wydaje się, że dysproporcja pomiędzy akumulacją kapitałów, a przyrostem ludności (głównie przez imigrację) w Warszawie i okolicach jest specjalnie duża. Co zatem idzie trudno jest mieć nadzieję, by bez po-

mocy ze strony państwa można było myśleć o podniesieniu stopy życiowej i poziomu kulturalnego mieszkańców stolicy i terenów podstołecznych.
Dotychczasowa pomoc państwa nosi wyraźne cechy przypadkowości. Tak np. Warszawa dzięki temu, że jest siedzibą władz centralnych uzyskała rozmaite budowle reprezentacyjne. Pozatem dzięki łatwości uzyskiwania rozmaitych „funduszów" od będących na miejscu urzędów państwowych, do kas miejskich Warszawy płynęły i płyną rozmaite sumy, które jednak zwykle zużywane są zupełnie niezależnie od siebie i nie dają przez to efektu, który by dać mogły. Te sumy dawane „na odczepnego" mogą stanowić specjalny rozdział marnotrawstwa publicznego.
Jest rzeczą dziwną, że w czasie kiedy mnożą się ciągle objawy ingerencji państwa w dziedzinie życia gospodarczego, tak wielkie zagadnienie, jak kwestja podniesienia gospodarczego stolicy i jej okolic do poziomu odpowiadającego stanowi gospodarczemu kraju, wciąż jeszcze zbyt mało zajmuje uwagi. W możliwościach polityki gospodarczej leży odziaływanie na rentowność produkcji nietylko w poszczególnych jej działach, ale również w obrębie obszarów geograficznych. Przesunięcia geograficzne były niepożądane na początku istnienia państwa polskiego, gdy trudne były jeszcze do określenia kierunki procesów gospodarczych w zrastających się dzielnicach. Obecnie jednak życie gospodarcze kraju jest na tyle ustabilizowane, że dadzą się wydzielić poszczególne problemy. Z nich specjalnie jaskrawie wyróżnia się problem stolicy.
Poza stroną gospodarczą tego zagadnienia jest jeszcze cały szereg motywów narodowych, kulturalnych i t. d., które przemawiają za najszybszem uregulowaniem go.
Stolica stanowi mózg i serce kraju — stolica nadaje rytm całemu organizmowi państwowemu. Przy złych warunkach życia w stolicy, przy szeregu drobnych trudności codziennych, nieproporcjonalnie dużo energji i wysiłku idzie na marne. Przy coraz ostrzejszym zaś „wyścigu pracy" zahamowany i rozproszny rytm życia stolicy odziaływuje tamująco na rozwój całego kraju. Dotyczy to zarówno kwestji gospodarczych jak i wszelkich innych.

b. l.

ŻMUDNA DROGA.

Czytając świeżo wydaną pracę p. Jana Zdzitowieckiego o „Naprawie pieniądza włoskiego" (Poznań, 1932 stron 207), trudno się oprzeć wrażeniu, iż ugruntowanie w narodzie, który niedawno zdobył niepodległość i zjednoczenie, podstawowych zasad zdrowej gospodarki publicznej wymaga długotrwałego wysiłku i znacznego upływu czasu. Z dnia na dzień nie można zaimprowizować umiejetności gospodarowania państwem, równowagi budżetowej, ostrożnej i twórczej polityki wydatków skarbowych etc. I to tem więcej, że państwo jest wciągane w orbitę bezpośredniej działalności gospodarczej, zmuszone do brania na swój kark obowiązków, przerastających częstokroć jego siły materjalne, przygotowanie kierowników nawy państwowej.
Ten — powiedzielibyśmy — etatystyczny kurs włoskiej polityki gospodarczej istniał w zaraniu niepodległości i zjednoczenia, istnieje i dzisiaj. „Włochy, zrósłszy się w naród, nie miały ni wojska, marynarki, ni arsenałów, portów, dróg zwykłych i żelaznych, ani też jednolitego systemu administracyjnego; a po kosztach prowadzenia wojen i rewolucyj stworzyły armję, stworzyły flotę, przebudowały porty, stworzyły arsenały, pobudowały drogi żelazne, zwykłe, roztoczyły nad wszystkiem opiekę..."— cytuje autor profesora Supino. Faszyzm, jakgdyby łącząc w klamrę wysiłek pokolenia z lat 70-tych i 80-tych ub. stul. z wysiłkiem powojennej Europy, wypowiada się w „Carta del Lavoro" za udziałem czynnika publicznego w życiu gospodarczem narodu i za rozbudową przez państwo gospodarki narodowej Włoch. „Carta" mówi wyraźnie, że „państwo interwenjuje w zakresie produkcji ekonomicznej tylko wtedy, gdy brak inicjatywy prywatnej lub jest ona niedostateczna, albo też gdy wchodzą w grę jego interesy polityczne. Interwencja ta może przybrać formę kontroli, zachęty lub też zarządu bezpośredniego" (str. 193). Dziesięcioletnia działalność faszyzmu nietylko potwierdza słowa deklaracji, lecz jeszcze znacznie je wyprzedza i pogłębia.
W oświetleniu p. Zdzitowieckiego historja gospodarki publicznej Włoch nabiera barw niekoniecznie jasnych. Jeszcze w okresie przedwojennym deficyty budżetowe nie były wcale rzadkością, a oszczędność nie stanowiła cechy narodowej. Wojna, rzecz prosta, „podnieca" i rozgrzesza brak równowagi budżetowej, okres zaś następujący bezpośrednio po niej (1918 — 1921), nosi na sobie dodatkowy ciężar likwidacji jej skutków. Łączny deficyt pierwszych 3 lat powojennych dochodzi do 40 miljardów lir, ciężar podatkowy sięga 14 miljardów czyli $^1/_6$ dochodu społecznego, emisja banknotów jest blisko 9-o krotnie większa od przedwojennej, a kurs liry spada do $^1/_5$ parytetu. Nad Włochami wisi fantastyczny wprost ciężar długów wojennych, rezultat kosztownej przyjaźni politycznej, 24 miljardów lir w złocie, nie licząc procentów, które dopiero rząd faszystowski skonsolidował, obniżając do kwoty niespełna 15 miljardów lir złotych. Do tego dochodzą długi wewnętrzne, stanowiące w 1928 r. jeszcze ok. 25 miljardów lir złotych.

Przyjście faszyzmu do władzy nie oznacza bynajmniej radykalnej poprawy sytuacji. Faszyzmowi udaje się tylko zreformować ustawodawstwo podatkowe (zniżki w podatku dochodowym i spadkowym, skasowanie podatku od kuponów), tem niemniej obciążenie fiskalne stanowi, jak obliczają sami włosi, ponad 20% dochodu społecznego. Dochody budżetowe wzrastają jednak o tyle, że pomimo wzrostu wydatków („oszczędność, panująca w czasie sprawowania rządów przez A. De' Stefani, kiedy to właśnie budżet został zrównoważony, została później, za czasów mniej rygorystycznego i niedostępnego G. Volpi'ego, zapomniana" — komentuje p. Zdzitowiecki), budżet zamyka się nadwyżką, która w okresie 1924 — 1929 wyniosła łącznie 2 miljardy lir (pierwsze dwulecie faszyzmu wykazuje jeszcze 3 miljardy niedoboru). Charakterystyczne jest przytem, że w 1927/28 r. wydatki budżetowe, przeliczone według wskaźnika cen hurtowych, wynoszą 165% wydatków przedwojennych, dochody zaś 173% takichże dochodów.

Reforma walutowa i stabilizacja kursu liry postępowała o wiele trudniej i powolniej. Faszyści początkowo ograniczyli emisję bankową, lecz już w II poł. 1924 r. emisja wzrasta, tak, iż w II poł. 1925 r. wskaźnik emisji (r. 1913 = 100) dochodzi do 820, t. j. o 50 punktów wyżej, niż w czasie „marszu na Rzym". Dopiero energiczny wysiłek — po szeregu nieudałych, połowicznych prób — dokonany na jesieni 1927 r., zrywając z emitowaniem banknotów na

rachunek skarbu i zmniejszając radykalnie obieg biletów państwowych, usuwa niebezpieczeństwo permanentnej inflacji. Ciekawe jest przytem — a do stosunków polskich dosyć podobne — że pierwsze próby faszyzmu podtrzymania kursu liry nie cieszyły się powodzeniem pomimo zawarcia umowy pożyczkowej z Morganem (1925 r.), dwukrotnego zaostrzenia przepisów walutowo - dewizowych, interwencji, konsolidacji długów wojennych i uzyskania nadwyżek budżetowych. Pierwszy sukces — spadek dolara, po raz pierwszy od 4 lat — uzyskuje faszyzm dopiero we wrześniu 1926 r., jednakże do momentu stabilizacji liry upłynęło jeszcze zgórą rok czasu. Od dekretu z 27. XII. 1927 r. kurs dolara oscyluje dokoła poziomu 19 lir. Włochy przyjmują system gold exchange standart'u, dług Państwa w instytucji emisyjnej podlega umorzeniu i t. d. Pięcioletni okres zmagania się rządu włoskiego z niedomaganiami skarbowemi i walutowemi jest niewątpliwie długi. Świadczy to o niemożności szybkiego dopasowania najbardziej słusznych postulatów zdrowej gospodarki do charakteru narodu, jego umiejętności gospodarowania i do doboru odpowiednich środków. Zarazem też świadczy o trudnościach, jakie napotyka w przyszłości rząd, nie poprzestający na roli biernego widza.

k. b.

REWOLUCYJNY BILL.

Słynny już dzisiaj bill Goldsborough'a będzie w historji pieniądza posiadał specjalną kartę. O ile zostanie on zrealizowany, a nie spocznie — na co się chwilowo zanosi — w archiwach Kongresu amerykańskiego, może mieć znaczenie pierwszorzędne, ba! rewolucyjne, aczkolwiek niekoniecznie — dodatnie. Rewolucyjność billu Goldsborough'a polega na tem, że w drodze ustawy, a zatem w sposób czysto mechaniczny, powiedzielibyśmy — sztuczny, ogólny poziom cen ma wzrosnąć o taki to a taki odsetek, względnie siła nabywcza czyli kurs dolara ma spaść w takim to a takim stosunku. Nie w drodze żywiołowego rozwoju procesów gospodarczych, lecz według zgóry określonego planu, nie w wyniku paniki, nieopanowanej spekulacji lub nacisku sił zewnętrznych, lecz jako rezultat świadomego i dobrowolnego działania — krajowy (a raczej światowy) miernik wartości miałby zmienić swą treść emocjonalną.

Celem billu Goldsborough'a jest wzrost cen, działający podniecająco na produkcję Stanów Zjednoczonych, a jednocześnie zmniejszenie ciężaru długów wewnętrznych, które tę produkcję dławią. Skutki zaś billu nie ograniczą się do samych Stanów, lecz rebus sic stantibus wywołają powszechny, światowy sui generis przewrót. Po pierwsze — zostałby wydatnie zredukowany ciężar zobowiązań zarówno międzynarodowych, zwłaszcza wobec Stanów, jak i wielu krajowych, w których dolar papierowy jest niejednokrotnie walutą zasadniczą. Po drugie — zasada gold exchange standart byłaby na czas jakiś zupełnie zawieszone. Po trzecie—w związku z punktem poprzednim ze strony instytucyj emisyjnych i prywatnych rezerw kapitałowych wzmógłby się popyt na złoto, powodując tem samem skutki deflacyjne. Po czwarte — zwyżka cen utrudniłaby Stanom Zjednoczonym walkę konkurencyjną z Europą i — odwrotnie ułatwiłaby tej ostatniej spłatę zobowiązań wobec Stanów w towarze.

Gdyby skutek działania billu Goldsborough'a ograniczył się do powyżej wyliczonych punktów, wpływ jego na życie gospodarcze Europy mógłby mieć znaczenie częściowo nawet dodatnie. Istnieje atoli obawa, że wpływ ten mógłby być również niebezpieczny, ujemny. Przykład Ameryki kto wie, czy nie okaże się już teraz zaraźliwy, działając sugestywnie na psychikę społeczeństw europejskich, które w obniżce kursu walut skłonne są widzieć panaceum na kryzys. Zapewne, ciężar zobowiązań, pod którym producent europejski ugina się w silniejszym stopniu, aniżeli amerykański, jest niesłychanie dotkliwy; z chwilą jednak, gdyby nietylko dolar, lecz również frank, floren, złoty czy lei zostały zdeprecjonowane Europa nie odczułaby ulgi, jaką przyniosłoby jej zmniejszenie najcięższych zobowiązań — długów wobec Ameryki. Powszechna obniżka kursu walut europejskich zmieniłaby nominalny poziom cen, nie zmieniając poziomu realnego. Ograniczona do państw wierzycielskich czy wierzycielsko - dłużniczych, mogłaby częściowo przynieść ulgę państwom dłużniczym. Dotykając zaś tylko kraje dłużnicze, wpędziłaby je w sytuację gorszą od obecnej. Sam wzgląd na skutki masowego run'u na wkłady, których stosunek do obiegu pieniężnego brzmi dajmy na to w Polsce jak 2 : 1, powinien przestrzec zwolenników raptownych, chociażby ustawowych, poczynań w stosunku do kursu waluty krajowej. Przykład zaś Anglji i państw skandynawskich powinien przypomnieć, że w okresie depresji konjunkturalnej na całym świecie premja walutowa przestaje działać. Sytuacja — zwłaszcza w razie przyjęcia przez Senat billu Goldsborough'a — wydaje się natomiast podatną do ostrożnego i stopniowego przechodzenia od deflacji ku inflacji — inflacji gospodarczej, nie skarbowej — przy zachowaniu niezmienionego poziomu waluty. Powstrzymanie spadku cen, zamknięcie „nożyc", zwyżka cen artykułów wolnego rynku — wszystko to może postawić na nogi zamierającą produkcję, nie burząc podstaw kapitalizacji, bez której szanse wybrnięcia z kryzysu redukują się do zera pomimo pozornych i chwilowych korzyści, jakie mogłaby przynieść dewaluacja.

z. i.

BILON.

W okresie kryzysu i wynikających zeń trudności budżetowych emisja bilonu może odegrać rolę czynnika, który sam przez się nie jest i nie powinien być kołem ratunkowem dla skarbu, lecz potrafi łagodzić tarcia, będące rezultatem zarówno towarzyszącej kryzysowi deflacji, jak i trudności w „odmrożeniu" rezerw skarbowych. Współczesny kryzys dowiódł, że umiejętna, t. zn. umiarkowana i ostrożna emisja bilonu, nie stanowi niebezpieczeństwa dla waluty, usuwa — w drobnym stopniu i na wąskim odcinku — ujemne skutki ciasnoty pieniężnej. Przy skurczonych obrotach, które zwłaszcza na wsi spadają do minimum, bilon bardziej, aniżeli duże odcinki banknotowe, odpowiada faktycznej sytuacji. Dla czujnego zaś obserwatora, który pilnie śledzi tendencję zwyżkową emisji bilonu, tendencja ta nie jest groźna dlatego, że posługiwanie się bilonem nie przeszkadza stosowaniu zupełnie odrębnych, a przytem zasadniczych sposobów walki z deficytem budżetowym. Niebezpieczeństwo od strony bilonu mogłoby — psychologicznie — istnieć jedynie wówczas, gdyby nie przeprowadzano wydatnych restrykcyj budżetowych, nie upłynniano rezerw, nie przeprowadzano operacyj kredytowych etc.

Stąd nie jest rzeczą niezrozumiałą, iż państwa korzystają obecnie w znacznym stopniu z uprawnień ustawowych, emitując bilon srebrny, niklowy i inny primo dla ulżenia ciasnocie pieniężnej, secundo — dla częściowego dopomożenia swym dochodom budżetowym. A że sytuacja, w jakiej się większość państw znalazła, jest trudna dzięki depresji, skurczeniu produkcji i wymiany, ograniczeniom w handlu zewnętrznym, ciężarowi długów zagranicznych i t. p., rola wzrostu (nawet relatywnego) emisji bilonu sprowadza się do zera i wpływ jego na kurs waluty blednie wobec wpływu wymienionych wyżej czynników. To też gdy w marcu br. emisja bilonu w Niemczech dochodzi do 23% ogólnego obiegu, ten względnie wysoki odsetek nie powoduje żadnych ujemnych skutków dla poziomu reichsmarki.

W Polsce *emisja* bilonu od dłuższego czasu stale lecz b. powoli wzrasta. Gdy 30.IX ub. r. emisja monet srebrnych, niklowych i miedzianych wynosiła 314,475 tys. zł., to na 31.XII ub. r. podniosła się do 316,552 tys. zł. czyli o 0,7%, a na 30.IV br. — do 318.663 tys. zł. (stan ten sam, co w dniu 31.III) czyli o dalsze 0,7 proc.

Ogólna suma emisji (która w myśl dekretu Prezydenta z 1927 r. nie może przekraczać 320 miljonów zł.) nie jest cyfrą najbardziej istotną. Ważniejszy jest jej podział, a mianowicie — z ogólnej sumy emisji znajdowało się (w miljonach zł.):

	w obiegu	na r-ku skarb.	na r-ku B. P-l.
30.IX. 1931	240,9	44,0	29,6
31.XII. 1931	240,1	39,4	37,0
30.IV. 1932	267,5	0,2	51,0

W stosunku do całości obiegu (bilety Banku Polskiego plus bilon) *obieg* bilonu stanowił: 30.IX ub. r. 16 proc., 31.XII — 17 proc. i 30.IV br. — 19 proc.

Czy istnieją możliwości dalszego zwiększenia i emisji i obiegu bilonu? — Naszem zdaniem: tak, albowiem: a) dotychczasowa zwyżka poziomu emisji i obiegu nie odbiła się ujemnie, przy zachowaniu więc dotychczasowego umiarkowania nie należy przewidywać niepożądanych skutków; b) zmianie dekretu z 1927 r., o ile zajdzie tego konieczna potrzeba, nie stoi pod względem prawnym nic na przeszkodzie; c) jako górną granicę obiegu ze względów psychologicznych możnaby ustalić na podstawie naszych własnych i obcych doświadczeń — 25% ogólnego obiegu; d) z ewentualnie podniesionej emisji Bank Polski mógłby zakupić, aby być w zgodzie ze swym statutem, jeszcze ok. 6 milj. zł. (przy obiegu 1,150 milj., jaki utrzymuje się od początku br., Bank może posiadać max. 57,5 milj. w polskich monetach srebrnych i bilonie); e) dotychczasowe nasycenie bilonem naszej prowincji jest niedostateczne, podczas gdy w stolicy wytwarza się przy wypłacie poborów urzędniczych wrażenie inflacji bilonowej, i bilon b. szybko powraca do kas bankowych i skarbowych; f) monety srebrne w wielu okolicach kraju są poszukiwane niejednokrotnie na cele tezauryzacyjne. Gdyby przytem obieg bilonu miał nadal wzrastać, pożądane byłoby, aby odbywało się to na dobro monet srebrnych i co więcej—drogą wypuszczenia sztuk 10-cio złotowych, gdyż tego rodzaju odcinek stanowi rzadkość, skoro banknotów 10-cio złotowych znajduje się w obiegu zalednwie za 14 miljonów złotych.

k. b.

SEZONOWOŚĆ.

Sezonowe wahania całego szeregu artykułów stanowią w polityce gospodarczej jedno z najbardziej zapoznanych zjawisk życia. Oddawna się już przyjęło i rozpowszechniło przekonanie, że notowania cen stanowią najlepszą ilustrację dla całego szeregu procesów gospodarczych. Poczyniono cały szereg wysiłków, idących w kierunku uczynienia z tych notowań możliwie najbardziej wartościowego materjału statystycznego przez wprowadzenie i ujednostajnienie standardtów, przez stosowanie jednolitej metody notowań i t. d. Dla określania sytuacji danego działu życia gospodarczego, czy dla określania ogólnej sytuacji gospodarczej, przyjął się przytem zwyczaj zestawiania cen w ich wartości bezwzględnej, bez oczyszczania ich od wpływu jakichś stałych wahań. Określanie przebiegu tych stałych wahań cen, czy to wynikających ze zmian pór roku, czy też rozciągających się na dłuższe okresy czasu jest nieraz trudne. Specjalnie trudna do zgodnego z rzeczywistością określenia jest tendencja wieloletnia (trend) dla cen danego artykułu, gdyż odgrywają tu już poważną rolę czynniki ogólne, jak kwestja przyrostu ludności, produkcja złota i t. d. Są często również trudne do określenia dla szeregu artykułów wahania kilkoletnie w obrębie np. poszczególnych cyklów konjunkturalnych. Stosunkowo najłatwiej dają się uchwycić wahania cen w zależności od pór roku, tj. właśnie t. zw. wahania sezonowe. Wahania te — zwłaszcza w odniesieniu do artykułów rolniczych — znajdują zwykle logiczne i niepodlegające wątpliwościom wytłumaczenie. Tem niemniej nie są one zwykle uwzględniane w memorjałach, czy artykułach prasowych, charakteryzujących sytuację gospodarczą. Uwzględnienie zaś sezonowych wahań cen oszczędziłoby tak politykom gospodarczym, jak i szerszemu ogółowi wiele złej krwi, wynikającej z fałszywej oceny sytuacji. Tak np. niemal klasycznym przykładem jest spotkany jeszcze dzisiaj zarzut pod adresem p. Bartla, iż przez przywóz zboża na wiosnę 1928 r. wywołał znaczny spadek cen tego zboża w okresie pożniwnym. Zarzut ten nie uwzględnia zjawiska sezonowości cen, które właśnie dla artykułów produkcji roślinnej występują specjalnie wyraźnie. I pomimo, że każdy rolnik na wsi wie, iż ceny zbóż zależne są przedewszystkiem od rozmiarów zbiorów, to jednak argumenty w rodzaju przytoczonego powyżej, iż przywóz zboża na przednówku (stanowiący zaledwie minimalny odsetek produkcji krajowej) mógł mieć decydujący wpływ na kształtowanie się cen w okresie pożniwnym, są zawsze chętnie przytaczane, o ile mają stanowić jeden z argumentów niezadowolenia.

Specjalnie wyraźnie występuje zapoznanie sezonowości cen przy ocenie sytuacji w okresie kryzysu. Wprawdzie wahania sezonowe cen w latach wyjątkowych, jak np. w latach ostrej inflacji, czy deflacji ulegają znacznemu zniekształceniu, to jednak dla wielu artykułów przebieg ich kształtuje się w zwykły charakterystyczny sposób. Nieuwzględnianie sezonowości w takich wypadkach prowadzi do fałszywych optymizmów, czy pesymizmów. Bylismy od paru lat co wiosnę świadkami zapowiedzi „pierwszych jaskółek poprawy", które w końcu roku zamieniały się w proroctwa „najcięższej zimy ludów". O ile jednak przy ocenie ogólnej sytuacji wpływ czynników pozagospodarczych w ostatnich czasach jest na tyle duży, iż zniszczył on niemal całkowicie

możność opierania się na pewnych prawidłach życia gospodarczego, o tyle w wielu wypadkach szczególnych, gdzie chodzi jedynie o pewne działy życia gospodarczego, stałe zjawiska gospodarcze nie ulegają zasadniczym zmianom. Jako przykład można np. przytoczyć zwyżkę cen trzody w lecie 1931 r. którą Instytut Badania Konjunktur tłumaczył stale w swych sprawozdaniach miesięcznych jako zjawisko sezonowe, która to zwyżka dała jednak asumpt do wielu fałszywych spekulacyj, a nawet nie pozostała bez wpływu na politykę gospodarczą w tym okresie.

beewu.

POLEMIKA

EDWARD ROSE

UWAGI W SPRAWIE DEKRETU WĘGLOWEGO

W związku z zamieszczonemi w Nr. 8 „Gospodarki Narodowej" uwagami p. t. „Regulowanie obrotu węgla" otrzymujemy od p. dr. Edwarda Rosego następujące wyjaśnienia.

Wobec wielkiego rozgłosu, jakiego nabrała w opinji publicznej sprawa dalszego wywozu węgla polskiego morzem po spadku funta angielskiego, zrozumiałem jest, że ostatnie odnośne dane cyfrowe badane są z dużem zainteresowaniem. Popełnia się jednak przytem szereg błędów, na które poniżej chcielibyśmy zwrócić uwagę.

Najprzód miesiąc luty nie nadaje się wogóle do jakichkolwiek wniosków porównawczych. Jest to miesiąc, w którym wywóz z reguły wykazuje poziom najniższy zarówno ze względu na mniejszą stosunkowo ilość dni roboczych, jak też na zamarznięcie szeregu portów zwłaszcza w północnej Szwecji i Finlandji. Ponadto w roku bieżącym przez całą drugą połowę tego miesiąca nie pracowały z powodu strajku kopalnie Zagłębia Dąbrowskiego.

Pertraktacje w sprawie popierania morskiego wywozu węgla trwały istotnie już od października, jednak do 1 lutego br. sytuacja miała z konieczności przejściowy charakter. Tak więc zwrotne zaliczki przyznane przez rząd ograniczone były tymże terminem 1-go lutego rb., a to dlatego, że w tym dniu dopiero wprowadzoną została na Górnym Śląsku obniżka płac, stanowiąca nieodzowną przesłankę dla kontynuowania tego wywozu. W Zagłębiu Dąbrowskiem zaś górnicy po strajku dopiero w drugiej połowie marca stanęli zpowrotem do pracy. Już z tego powodu zatem dane lutowe nie mogą być absolutnie miarodajne dla oceny wysiłku eksportowego ze strony przemysłu węglowego. Dopiero, odkąd znane są zasady funduszu wyrównawczego, którego utworzenie nastąpiło zaledwie parę tygodni temu, stworzone zostały nieodzowne podstawy kalkulacyjne dla tranzakcji eksportowych. Dodać tu należy, że w międzynarodowym handlu węglem sprzedaże z dostawą doraźną należą raczej do rzadkości, ogólnie przyjętem jest natomiast zawieranie umów o dostawę na długie terminy zgóry. Tak np. już dziś toczą się pertraktacje w sprawie dostaw w ciągu najbliższej zimy.

Już z powyższego wynika, że twierdzenie o „pójściu na marne" wielkich ofiar, ponoszonych przez pracowników jak też ogół spożywców krajowych w celu utrzymania wywozu węgla, jest conajmniej przedwczesne i całkowicie dowolne. Również nie są słuszne wnioski o rzekomem uchylaniu się przemysłu od wywozu, dedukowane z faktu, że w lutym rb. odsetek wywozu w stosunku do całego zbytu węgla był niższy niż przeciętnie w latach poprzednich. W zasadzie oczywiście odsetek ten może być uważany za właściwą miarę dla oceny wysiłku eksportowego przemysłu. Pomijając już jednak przypadkowy charakter cyfr lutowych, o którym była mowa wyżej, należałoby jeszcze dla ścisłości z cyfr ogólnych eksportu wyeliminować wywóz na t. zw. rynki konwencyjne, który ostatnio, z powodu rozpaczliwego położenia dewizowego Austrji i Węgier, coraz się bardziej kurczy.

Ważniejszem jest jednak, że przy zmniejszaniu się stosunkowo rentownego zbytu wewnętrznego możność utrzymania wywozu na t. zw. rynki wolne na tym samym odsetkowym poziomie staje się coraz bardziej wątpliwą. Nie chodzi tu tylko o fakt pogorszenia się cen i warunków sprzedaży na tych rynkach, ale również o katastrofalne skutki, jakie w zakresie kosztów własnych pociąga dla przemysłu raptowne zmniejszenie zbytu wewnętrznego, a tem samem i ogólnego wydobycia. Bardzo wymowne są pod tym względem dane, przytoczone w zeszycie 8 „Gospodarki Narodowej", z korych wynika, że przy zredukowaniu wydobycia z października 1931 r. do lutego 1932 r. z 3,7 miljonów tonn do 2,1 milj. tonn, czyli mniejwięcej o 43 proc., jednocześnie ilość zatrudnionych robotników zmniejszyła się zaledwie o 4 proc. Rzecz prosta ta rażąca dysproporcja tłomaczy się w znacznej mierze wprowadzeniem świętówek, jednak nie może ulegać żadnej wątpliwości, że pociągnęła ona za sobą w kopalniach naszych powszechny i bardzo wybitny wzrost kosztów własnych, co oczywiście utrudnia konkurencję na rynkach morskich.

Już choćby z tego względu trzeba się przezornie z tem liczyć, że nasz wywóz morski w roku bieżącym absolutnie nie dosięgnie ilościowo poziomu zeszłorocznego. Dochodzi tu bowiem jeszcze moment dalszy. Spostrzeżenie, że w lutym spadł wywóz do Skandynawji nietylko z Polski, ale jednocześnie i Anglji, jest w zasadzie ścisłe, nie świadczy jednak bynajmniej, że ten ubytek poszedł na korzyść węgla niemieckiego. Raczej trzeba ten wyciągnąć wniosek, że pojemność krajów skandynawskich, dotkniętych również silnie przesileniem — ważne są szczególnie konsekwencje afery Kreugera dla życia gospodarczego Szwecji, — jest obecnie dla węgla zagranicznego silnie zmniejszona. O tę zmniejszoną pojemność walczy dziś Anglja wszelkiemi dostępnemi jej środkami i presja z jej strony na kraje skandynaw-

skie, zwłaszcza na Danję, operujące wciąż argumentami o nierówności wzajemnych obrotów towarowych i wyzyskująca tradycyjne w Skandynawji sympatję dla Anglji, jest niepospolicie silna. Wszelkie zaś objawy dążeń polskich o utrzymanie rynków zdobytych w ostatnich latach, wywołują w prasie angielskiej, już nietylko fachowej, głosy żywego niezadowolenia i nawet oburzenia, a niezmiernie groźny charakter tego współzawodnictwa polskiego podkreślany jest nieustannie.

W tych warunkach pozycja polskiego przemysłu węglowego, który oczywiście doskonale zdaje sobie sprawę z decydującego charakteru obecnej rozgrywki, jest niepospolicie ciężka, zwłaszcza że wobec niemożności zawierania umów w jakiejkolwiek innej walucie jak angielska musi on ponosić całe ryzyko, związane z nadal nieustabilizowanym kursem funta. Przemysł ten więc zasługuje, przynajmniej na łamach prasy fachowej, na pewne zrozumienie istotnej trudności jego położenia.

Polityka wywozowa kopalń polskich niezawodnie w niejednym punkcie może być poprawiona, lecz szematyczne recepty w rodzaju ścisłego trzymania się warunków umowy i używania dobrego pośrednictwa doprawdy niewiele tu pomogą. Również udzielanie praktycznych wskazówek postępowania przy braku dostatecznej znajomości przedmiotu nie ułatwi sytuacji. Tak np. przypomnienie cennych właściwości węgla polskiego do potrzeb kolejnictwa nie jest nowe, bo zarządy kolejowe wszystkich krajów skandynawskich — podobnie zresztą jak wszyscy więksi konsumenci przemysłowi w tych krajach — od szeregu lat węgiel polski na własne cele w dużych ilościach zużywają i właściwości każdej marki polskiej są im w najdrobniejszych szczegółach znane. Niestety wynik każdego przetargu kolejowego odbija się dziś w prasie zwłaszcza angielskiej tak głośnem echem i jest tak żywo komentowany, że, wg. wszelkiego prawdopodobieństwa, decyzje co do tych przetargów nie są wydawane tylko na podstawie cen i analiz oferowanych przez kopalnie polskie marek, lecz przy uwzględnieniu całego szeregu innych, niekoniecznie nawet gospodarczych momentów.

Wreszcie zalecenie, aby kopalnie polskie przystąpiły obecnie do tworzenia standardowych sortymentów eksportowych, byłoby nader skutecznym sposobem dla zahamowania polskiej zdolności konkurencyjnej wogóle. Realizacja tego rodzaju koncepcyj — teoretycznie w odniesieniu do innych artykułów słusznych — tu najzupełniej chybiłaby celu. Póki w każdem zagłębiu angielskiem kilkadziesiąt kopalń sprzedaje węgiel wg. zupełnie różnorodnej nomenklatury i równie różnorodnych sortymentów, kopalnie polskie o standardyzowaniu swoich produktów myśleć nie mogą. Odbiorca zagraniczny przyzwyczajony jest bowiem do możności jaknajbardziej indywidualnego zaspakajania swoich potrzeb i narzucenie mu innych, bardziej nowoczesnych zwyczajów handlowych możliwem byłoby jedynie przy wspólnem porozumieniu także i w tym względzie krajów produkujących, o czem w obecnej chwili oczywiście mowy być nie może.

NOTATKI

ZMIERZCH BOGÓW.

Wydaje się, że w przebiegu zjawisk gospodarczych po wojnie, kiedy „przewartościowuje się wiele wartości", rola i znaczenie centralnych instytucyj emisyjnych conieco zmalały. O tem, że banki emisyjne regulują rynek pieniężny, a pośrednio również i rynek towarowy, można obecnie mówić tylko z szeregiem zastrzeżeń. Najwięcej zaś budzi wątpliwości panująca doniedawna doktryna, że w rękach banków emisyjnych leży możność — poprzez manipulowanie dyskontem i politykę restrykcyjną — przyspieszenia lub opóźnienia poszczególnych faz konjunktury, a conajmniej zaostrzania ich lub łagodzenia.

Trwający od lat trzech kryzys ekonomiczny zredukował w dużym stopniu pole działania banków emisyjnych. Banki te, aczkolwiek nie straciły swego znaczenia w całokształcie aparatu kredytowo-pieniężnego, muszą więcej, niż przed wojną, liczyć się z faktami, zachodzącemi poza ich sferą wpływów, odbywającemi się niekiedy wbrew ich woli. Z czynnika nadrzędnego stają się one elementem równorzędnym.

Czy ten stan rzeczy nie wiąże się z uświadomieniem sobie roli pieniądza, roli złota? Czy nie wynika on z faktu, że pomimo twierdzeń, jakoby ilość i dystrybucja złota decydowała o poziomie cen, psychologiczny wpływ towaru jest dziś bądź co bądź silniejszy, niż dawniej?

Powyższe zapytania nasuwają się po przeczytaniu książki p. Wacława Fabierkiewicza „Nauka o pieniądzu" (Warszawa 1932, stron 166). Zadaniem tej pracy jest obalenie teorji kwantytatywnej pieniądza i zastąpienie jej własną (zbliżoną do nominalistycznej) teorją gospodarczą. Nie wchodząc w meritum tez autora, którym należy poświęcić osobną, wyczerpującą recenzję, wypada podkreślić, iż odwraca on pogląd, jakoby poziom cen zależał od ilości znajdujących się w obiegu pieniędzy, twierdząc, iż „kształtowanie się konjunktury gospodarczej odbywa się samodzielnie i bez zależności od zmian, zachodzących w ilości środków pieniężnych". Dysproporcje w podziale dochodu społecznego powodują zmiany konjunkturalne, od tych zaś zależy taki czy inny poziom cen. W tych warunkach „ilość środków płatniczych, która stanowi reprezentację części zdolności nabywczej, kierowanej w wyniku złożonych dyspozycyj mas ludzkich na zakup towarów, ulegających bezpośredniej lub pośredniej konsumcji, wpływa na poziom cen towarowych w stopniu, odpowiadającym każdorazowemu stosunkowi, zachodzącemu pomiędzy mobilizowaną częścią zdolności nabywczej a rzucaną na rynek masą towarów" (str. 151).

Podchodząc do zagadnienia od strony podziału dochodu społecznego oraz podaży i konsumcji dóbr, p. Fabierkiewicz niejako ujmuje splendoru, jaki posiadają banki emisyjne, stojące na straży obiegu pieniężnego. I pieniądz i banki sprowadza on z piedestału, na jakich tkwiły one dotychczas dość mocno. Na tem więc przedewszystkiem polega społeczno-polityczna, społeczno - gospodarcza treść książki, pisanej na podłożu rozgrywających się wypadków w obliczu malejącego wpływu finansowych ośrod-

ków dyspozycji gospodarczej, a kto wie, czy i nie złota, którego wpływ sugestyjny oparty jest na b. kruchych podstawach.

br.

O INSTYTUT SPRAW KOBIECYCH.

Rozrost pracy zarobkowej kobiet przybrał po wielkiej wojnie wszechświatowej rozmiary ogromne, i to zarówno wśród warstwy robotniczej jak i w sferze pracowników umysłowych.

Parę przykładów zilustruje nam to liczbowo:

W Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej liczba kobiet zatrudnionych w przemyśle żelaznym i stalowym wzrosła w latach 1910 — 1920 o 150%; w przemyśle automobilowym na każde 1.000 robotników było kobiet w 1914 r. — 18, w 1919 r. — 114; w przemyśle instrumentów muzycznych odnośne liczby wyniosły: w 1914 r. — 77, w 1919 r. — 260.

We Francji praca kobiet w poszczególnych działach przemysłu wzrosła w latach 1914 — 1917 o 40% do 130%.

W Anglji kobiety stanowiły w ogólnej liczbie urzędników biur i banków w 1914 r. — 26%, w 1923 — 49%.

W Polsce ilość kobiet obowiązkowo ubezpieczonych w Kasach Chorych z tytułu swej pracy zarobkowej wyniosła w 1924 r. — 500 tysięcy, w 1930 r. — 750.000, a więc wzrost w ciągu lat paru o 50%.

Różne są przyczyny takiego masowego wzrostu udziału kobiet w życiu gospodarczem, bodaj najważniejsze z nich to mechanizacja i racjonalizacja produkcji oraz fakt, iż płaca zarobkowa kobiet jest znacznie niższą od męskiej.

Mechanizacja i racjonalizacja produkcji wprowadziły — na miejsce dawnego sposobu pracy, wymagającego względnie dużej siły fizycznej ze strony pracownika i pewnej kwalifikacji fachowej. — rękoczyny znacznie lżejsze i łatwiejsze, umożliwiające zastąpienie siły roboczej mężczyzn przez kobiecą, pracy wykwalifikowanego robotnika przez niewykwalifikowaną robotnicę.

Fakt, że płaca kobiet wynosi przeciętnie 30 — 50% płacy mężczyzn przyczynił się jaknajbardziej do tego, że — z chwilą gdy mechanizacja i racjonalizacja produkcji to umożliwiły — przedsiębiorcy zaczęli masowo na miejsce pracy mężczyzn wprowadzać pracę kobiet.

Masowe wtargnięcie kobiet do życia gospodarczego, które zbiegło się w czasie z bezprzykładną w swych rozmiarach klęską bezrobocia, wywołało bardzo różnoraki odgłos w opinji publicznej i w polityce społecznej. Ukazało się naprzykład, przedewszystkiem zagranicą, ale i u nas, w części prasy twierdzenie, iż najskuteczniejszym i najszybszym sposobem walki z obecnym kryzysem ekonomicznym, z szalejącem bezrobociem... to usunięcie kobiet zamężnych z rynku pracy, lub nawet całkowity zakaz pracy kobiet, zmuszenie ich do powrotu do zajęć wyłącznie w gospodarstwie domowem, do zamknięcia się znowuż w obrębie „ogniska domowego". Jak popularnem jest w niektórych sferach takie żadanie, widać to z faktu, iż hitleryzm w Niemczech, najpotężniejsze tam obecnie stronnictwo, wypisał je jako hasło na naczelnem miejscu swego programu. W Polsce przed paru tygodniami jedno z fachowych pism dla pracowników umysłowych pomieściło — i to nie w dziale „kącika humorystycznego" — artykuł namawiający kobiety, by dobrowolnie zrzekły się swych placówek pracy zarobkowej i ustąpiły je wielkodusznie mężczyznom; mają zaś uczynić to w imię „dobra państwa", gdyż kobiety bezrobotne to o wiele mniej podatny dla agitacji bolszewickiej materjał niż bezrobotni mężczyźni.

Nie będziemy się tu zastanawiali nad faktem, czy jest wogóle do pomyślenia, by usunąć od warsztatów pracy zarobkowej te wielomiljonowe rzesze kobiet, które konieczność dziejowa i mus gospodarczy tam, a od ogniska domowego, wygnały. Podamy tu tylko, że *już* w latach 1920/21 — a w ciągu ostatniego lat dziesiątka ilość ta jeszcze znacznie wzrosła — kobiety czynne zawodowo stanowiły wśród ogółu czynnych zawodowo obywateli w poszczególnych państwach świata do 40%, przyczem w niektórych przemysłach, np. w przemyśle odzieżowym w Anglji, ilość ich dochodziła już w 1920 r. do 70%.

W Polsce Niepodległej np. pierwszy spis ludności w 1921 r. ustalił, że na każde 100 kobiet wogóle przypada 42 kobiety czynne zawodowo, wobec 55 czynnych zawodowo mężczyzn na każdych 100 mężczyzn; ogólna liczba kobiet zawodowo czynnych w Polsce w 1921 r. stanowi 45% ogółu czynnych zawodowo, czyli że z każdych 100 obywateli czynnych zawodowo prawie **połowa to kobiety**.

Nie będziemy się tu, powtarzam, zastanawiali nad faktem, czy wogóle możliwem jest usunięcie z życia gospodarczego tak masowego zjawiska jak pracy zarobkowej kobiet.

Nie możemy jednakże zamykać oczu na fakt, że nacisk opinji publicznej[1]), żądającej usunięcia kobiet od pracy zarobkowej jako jakoby środka walki z bezrobociem, wywarł już swój wpływ nawet na pewne posunięcia polityki państwowej, czy instytucji społecznych, powodując cierpienia moralne i niedolę materjalną setek tysięcy pracujących zarobkowo kobiet. A więc, np. ostatnie rozporządzenie oszczędnościowe rządu niemieckiego w dziedzinie ubezpieczeń społecznych są tego rodzaju, że powodują właściwie w konsekwencji swej usunięcie od prawa korzystania ze świadczeń na wypadek bezrobocia kobiety zamężne, choć podlegają one nadal przymusowi ubezpieczenia od bezrobocia i muszą nadal opłacać odnośne składki; podobnież w Belgji ograniczono już prawa kobiet zamężnych w ubezpieczeniu od bezrobocia.

Fakt masowego wtargnięcia kobiet do życia gospodarczego całego świata wymaga niewątpliwie przedewszystkiem **spokojnych, bezstronnych** studjów naukowych nad tem zjawiskiem; dopiero na podłożu rezultatów takich badań może polityka państwowa dążyć do unormowania tego fenomenu gospodarczego w sposób, zapewniający dobrobyt całej klasie pracującej, a tem samem zgodnie z istotnemi wymogami dobra państwa.

Placówką takich badań powinien być *Instytut Spraw Kobiecych.*

Instytut Spraw Kobiecych powinien być placówką, któraby przeprowadzała *prace badawcze i studja naukowe w zakresie zagadnień, związanych ze zjawiskiem* dominującego po wielkiej wojnie wszechświatowej, *udziału kobiet w życiu gospodarczem,* zarówno robotnic, jak pracownic umysłowych.

Rozrost niebywały pracy kobiet; związane z tem: zarówno problemat egzystencji przyszłych pokoleń jak i te zupełnie nowe a skomplikowane zagadnie-

---

1) Por. bardzo pod tym względem charakterystyczne sprawozdanie z prac Komisji Brauns'a w Niemczech w „Weltwirtschaftliches Archiv" 1931/IV.

nia, które wyłaniają się w zakresie ustawodawstwa pracy i opieki społecznej oraz w obrębie polityki społecznej; nowe i dalsze wciąż powikłania życia ekonomicznego i społecznego w związku z rosnącym z dnia na dzień zakręsem pracy zarobkowej kobiet — wszystko to stwarza sytuację, w której powołanie do życia Instytutu Spraw Kobiecych, jako placówki o celach badawczych, propagandowych i pedagogicznych stało się palącą koniecznością.

Takiemu zrozumieniu ważności sprawy dała już wyraz naczelna międzynarodowa instancja w zakresie ustawodawstwa i polityki pracy oraz badań naukowych nad nią, uchwalając w dniu 13. I. b. r. na 56 Sesji Rady Administracyjnej Międzynarodowej Organizacji Pracy wniosek polski w sprawie utworzenia specjalnej Komisiji Studjów, poświęconej badaniu naukowemu wyłącznie nad pracą zawodową kobiet.

Instytut winien być zupełnie samodzielną jednostką prawną i organizacyjną, o własnym statucie, opartą na przepisach art. 63 Rozporządzenia Prezydenta Rzeczypospolitej z 29. XI. 1930 o organizacji i funkcjonowaniu instytucji ubezpieczeń społecznych (Dz Ust. 81 poz. 635, rok 1930),

Instytut powinien prowadzić badania naukowe nad udziałem kobiet w życiu gospodarczem, a to w zakresie: ochrony pracy, ubezpieczeń społecznych, rynku pracy, bezrobocia, emigracji i opieki społecznej, a więc w zakresie zagadnień objętych działaniem Ministerstwa Pracy i Opieki Społecznej i zwiazanych z działalnością instytucji ubezpieczeń społecznych.

Działalność Instytutu Spraw Kobiecych objęłaby zatem w pierwszym okresie prace badawcze i czynności bibliograficzne w następującym zakresie:

A. Specyficzne warunki pracy kobiet.

1. warunki fizjologiczne;
2. warunki psychologiczne;
3. warunki socjologiczne.

B. Kobieta w teorji i praktyce ubezpieczeń społecznych.

C. Opracowanie szczegółowej bibliografji prac i przyczynków naukowych w zakresie udziału kobiet w życiu gospodarczem.

D. Badania statystyczne dla celów ustalenia liczebności pracy kobiecej w przedsiębiorstwach, zatrudniających mniej niż 20 pracowników, oraz w pracy chałupniczej.

Powołanie do życia Instytutu Spraw Kobiecych jako placówki samodzielnej, poświęconej badaniu *wyłącznie* bytu *kobiet* i istniejącej obok analogicznych placówek, mających na celu badanie warunków życia warstwy pracującej, lecz niewyodrębniających zagadnienia pracy kobiet jako problemu specyficznego (jak np. Instytut Gospodarstwa Społecznego, Instytut Spraw Społecznych) jest uwarunkowane zupełnie temi samemi przesłankami i koniecznościami jakiemi było wywołane powstanie specjalnej inspekcji pracy dla spraw kobiecych obok inspekcji pracy dla spraw pracy zarobkowej wogóle.

Dopiero w tej płaszczyźnie możliwem się staje skierowanie zarówno zainteresowań bezstronnej pracy badawczej, jak i opartych na niej zarządzeń polityki państwowej i tendencji opinji publicznej na całokształt problemu, związanego ze specyficznem zagadnieniem udziału kobiet w życiu gospodarczem świata.

J. R.

KONIEC ELDORADO.

Przez szereg lat po Wielkiej Wojnie Europa żyła pod hasłem „amerykanizmu". „Amerykańskie tempo pracy", „amerykański rozmach przedsiębiorstw", „amerykańska stopa życia" imponowały znękanej i wycieńczonej długą wojną Europie. Pomimo szeroko stosowanego ostracyzmu największego z krajów Ameryki — Stanów Zjednoczonych, przez Atlantyk płynęły rokrocznie liczne rzesze emigrantów, by w tem nowoczesnem Eldorado znaleźć wymarzone warunki egzystencji. Wśród szeregu książek i artykułów prasowych poświęconych Stanom Zjednoczonym istniały wprawdzie głosy krytyczne, wskazujące na wielkie dysproporcje w życiu gospodarczem tego kraju, lecz amerykańska „prosperity" zdawała się być niewzruszoną. Wielkie towarzystwa okrętowe w pięknych wykresach przedstawiały stały rozwój ruchu pasażerskiego transatlantyckiego. I oto ostatni „Bulletin de la Societé d'études et d'informations économiques" przynosi wiadomość, że w roku 1931 przepłynęło Atlantyk 330.000 pasażerów mniej niż w 1930 r. Zmniejszenie to nastąpiło pomimo wszelkich wysiłków tych towarzystw, idących w kierunku udogodnienia i potanienia podróży.

Cyfra ta stanowi pewnego rodzaju znak czasu. Można byłoby oczekiwać, że wobec wielkich trudności gospodarczych z jakiemi walczą Stany Zjednoczone, na zmniejszenie się pasażerskiego ruchu transatlantyckiego powinien w pierwszej linji wpłynąć spadek liczby hałaśliwych turystów amerykańskich, którzy rokrocznie przyjeżdżali całemi zastępami, by oglądać starą Europę. Obecnie przyjeżdża tych turystów znacznie mniej, lecz bliższa analiza cyfr, ilustrujących pasażerski ruch transatlantycki wskazuje, że liczba podróżnych z Ameryki Północnej do Europy zmalała zaledwie o 15 — 17%, podczas gdy liczba pasażerów z Europy do Stanów Zjednoczonych i Kanady zmniejszyła się o 42% i 60% w porównaniu z 1930 r.

Na tak znaczne zmniejszenie się liczby podróżnych z Europy do krajów amerykańskich wpłynęły niewątpliwie dalsze restrykcje immigracyjne, stosowane przez te kraje. Lecz nietylko tym restrykcjom należy przypisywać tak wielkie zmniejszenie się liczby europejczyków, udających się do Ameryki. Raczej stanowi to dowód, że szerokie rzesze emigrantów z Europy również szybko i trafnie jak szereg ekonomistów - teoretyków, oceniły, że bezrobocie jest znacznie gorsze w kraju „nieograniczonych możliwości" — dobrych i złych, jakiemi są Stany Zjednoczone, niż w krajach europejskich, posiadających ustalone tradycje gospodarcze.

w. d.

RUBLE I TALARY.

Prasa codzienna przyniosła niedawno wiadomość o fabrykacji na wielką skalę złotych rubli carskich w Holandji, w celu rozpowszechniania ich w Polsce. Strona prawna tego procederu nie wydaje się nasuwać żadnych zastrzeżeń. Rosja carska nie istnieje. Złote ruble zatem z podobizną cara i z napisem, odnoszącym się do istnienia Imperjum Rosyjskiego może dzisiaj fabrykować każdy, gdyż nie jest to moneta obiegowa żadnego z państw. Chodzi tylko o to, by ruble te miały odpowiedni skład metali. Podobno zaś te ruble holenderskie nietylko pod względem u

działu złota, ale nawet i kolorem łudząco przypominają prawdziwe monety carskie.

Interesująca jest tu jednak strona ekonomiczna zagadnienia.

Fakt, że w jakimś kraju istnieje przedsiębiorstwo, trudniące się fabrykacją monet nieistniejącego państwa specjalnie dla ludności Polski, że ludność ta płaci koszta fabrykacji (zapewne niemałe), transportu, ubezpieczenia etc. tylko dlatego, żeby jako gwarancję wartości mieć podobiznę nieżyjącego cara, świadczy bardzo smutnie o wyrobieniu ekonomicznem tej ludności.

Wprawdzie w spokojnych czasach przedwojennych istniało podobne zjawisko z talarami Marji Teresy, które fabrykowano dla rozpowszechnienia wśród półdzikich ludów afrykańskich. Ludy te bowiem miały więcej zaufania do podobizny zmarłej przed półtora wiekiem, statecznie wyglądającej, monarchini, niż np. do wizerunku „młodej kobiety", stanowiącej symbol Republiki Francuskiej na srebrnych 5-cio frankówkach. Sam jednak fakt, że dla ilustracji uświadomienia gospodarczego ludności państwa 32-miljonowego, położonego w środku Europy, należy szukać analogji wśród koczowniczych szczepów Afryki Północnej niezbyt pochlebnie świadczy o ludności tego kraju europejskiego.

Ten przykład z rublami jest jeszcze jednym z dowodów, że sprawa podniesienia poziomu uświadomienia gospodarczego ludności jest obecnie w Polsce jednym z najważniejszych problemów *narodowych*. Sprawa ta pomimo swego wielkiego znaczenia pozostaje ciągle w zaniedbaniu.

Do poprawy istniejącego stanu rzeczy może się przyczynić w pierwszym rzędzie prasa codzienna. Wprawdzie w ostatnich czasach widzimy stały wzrost zainteresowania sprawami gospodarczemi w dziennikach, ale wyraża się on zwykle w formie artykułów o kryzysie, jego przyczynach, skutkach i możliwościach poprawy. Artykuły te zwykle, ze względu na charakter pisma są bardzo powierzchowne. Stokroć większą zasługę miałyby pisma codzienne, gdyby w swych działach gospodarczych omawiały przedewszystkiem drobne sprawy dnia codziennego i gdyby np. wytłumaczyły zwolennikom tezauryzacji w złocie, że nie opłaci się płacić tak dużej różnicy pomiędzy wartością rzeczywistą monety, a jej ceną rynkową tylko dlatego, że wyobrażona na niej jest podobizna ś. p. Mikołaja II.

b. l.

LEMONIADA.

W poszukiwaniu źródeł pokrycia deficytu, który za rok 1930/31 wyniósł 903 miljony, a na rok 1931/32 przewidywany jest w wysokości 2 miljardów dolarów, Kongres Stanów Zjednoczonych sięgnął do nowych danin i opłat publicznych. Na pierwszy ogień poszły nietylko obroty giełdowe i uzupełniający podatek dochodowy (gdzie obniżono minimum, wolne od obciążenia), lecz również: samochody i ich części, artykuły sportowe, jachty i łodzie motorowe, chłodnie (lodownie) i — napoje słodzone oraz teatry, znaczki pocztowe i — zapałki.

Ten oryginalny amerykański „jadłospis" jest nader charakterystyczny dla przeżywanego obecnie kryzysu. Dla zaradzenia klęsce bezrobocia czy dla redukcji deficytów budżetowych, państwa weszły na drogę gwałtownego poszukiwania objektów, które dałyby się jeszcze obciążyć, obłożyć podatkiem, wyeksploatować. Gdzie nie pomoże, jak np. w Niemczech i Czechosłowacji, podwyższenie podatku obrotowego (dokonane bez względu na to, co się o szkodliwości tego podatku mówiło i pisało), gdzie — odwrotnie — jak np. w Stanach Zjednoczonych podwyżka tego podatku jest wielce niepopularna, tam poświęca się najdrobniejsze nawet objekty, które — jak się zdaje na „oko" — mogą i powinny znieść nowe obciążenie. Kto w dzisiejszych czasach jeździ motorówką, trzyma szynkę w lodowni, pije lemoniadę, pali, koresponduje i, nie daj Boże, chodzi do teatru, ten znajduje się w tak korzystnych warunkach materjalnych, że grzechem byłoby nie ściągnąć odeń dolara tytułem niejako kary za to, że na wspomniane czynności wydaje pieniądze. Słabą wydajność każdego z tych podatków oddzielnie ma zrekompensować ich znaczna ilość.

Senatowi amerykańskiemu nie przypadł do gustu powyższy system. Głosując za billem Fletchera, zdecydował się na sposób o wiele bardziej prosty: na podniesienie cen do poziomu z 1926 r.

Czy już nie lepszy jest jednak podatek od lemoniady?

z. i.

Administracja przypomina o wpłaceniu zaległej prenumeraty na konto w P. K. O. Nr. 25 656

Redaktor odpowiedzialny KAZIMIERZ SOKOŁOWSKI **Sekretarz Redakcji: ZOFJA CIECHOMSKA**

RĘKOPISÓW NADESŁANYCH REDAKCJA NIE ZWRACA.

REDAKTOR PRZYJMUJE WE WTORKI I PIĄTKI OD 17 DO 18.

ADMINISTRACJA CZYNNA CODZIENNIE OD 11 DO 13.

REDAKCJA I ADMINISTRACJA: CHMIELNA 23 M. 6 TEL. 727-99. KONTO CZEKOWE P. K. O. 25.656

PRENUMERATA KWARTALNA 4 ZŁ. 50 GR. ZAGRANICĄ 6 ZŁ. CENNIK OGŁOSZEŃ NA ŻĄDANIE

Druk. „Nowogrodzka", Warszawa, Tarczyńska 4, tel. 680-20.